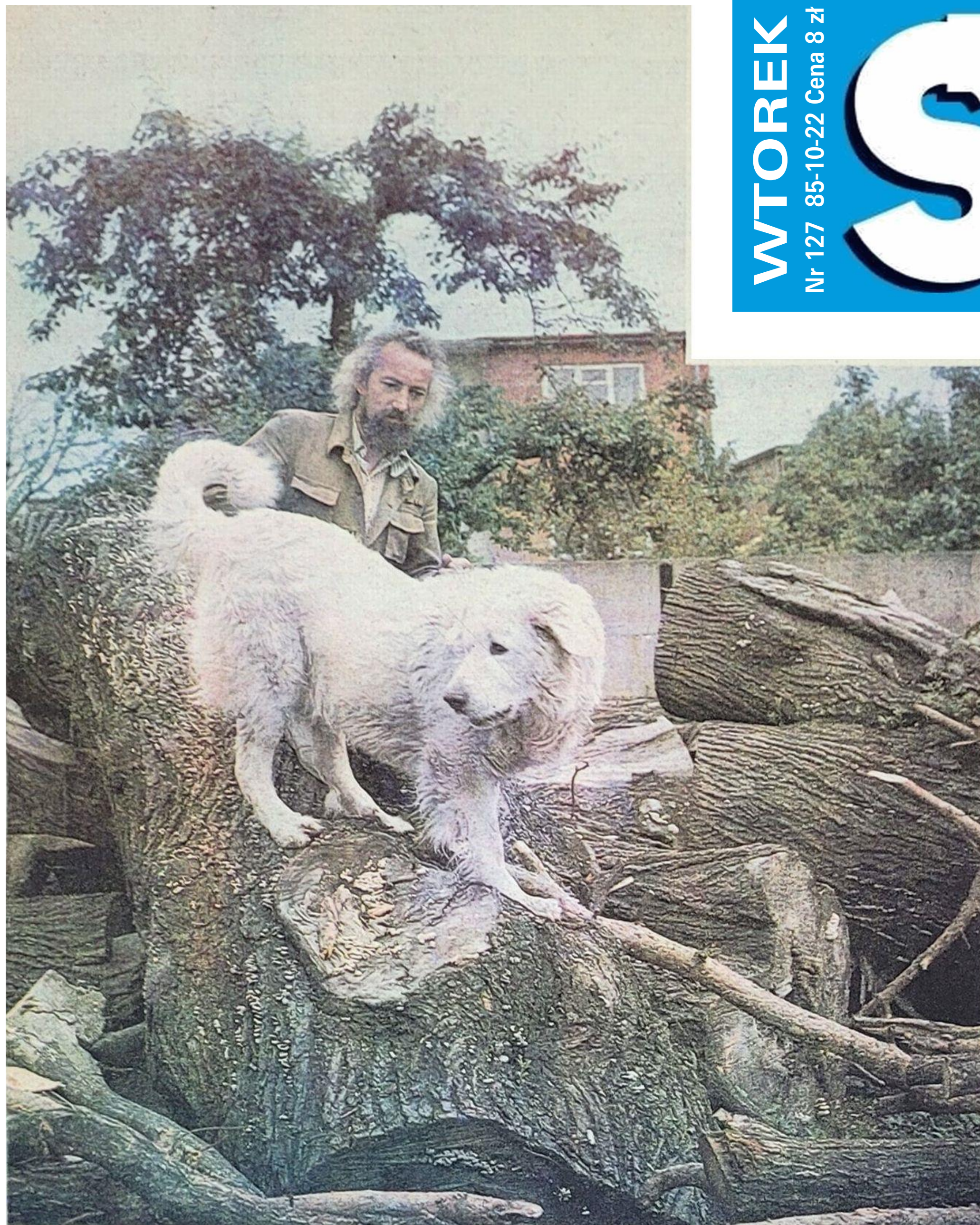
WTOREK Nr 127 85-10-22 Cena 8 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW



Stanisław Romaniak i Ares - z gór na niziny... Fot. J. Łopuszyński

Dom otwarty

PATRZ STR. 5

- Gdzie można było posłuchać poezji Stachury i ballad Elżbiety Adamiak, przez nią samą śpiewanych?
- Gdzie nadarzyła się okazja, by zadumać się nad losem współczesnej kobiety i szukać odpowiedzi na pytanie: czy można realnie, skutecznie walczyć o pokój?
- Gdzie słuchało się wspaniałej muzyki Pink Floydów lub oddawało się wschodnim medytacjom?
- Gdzie wreszcie oglądano pokaz tańca towarzyskiego w wykonaniu balowo wystrojonych par i... ubranego w jak najbardziej przepisowy mundur harcerski kierownika Wydziału Starszoharcerskiegp komendy Chorągwi?

WSZYSTKIE TE ATRAKCJE PRZEZNACZONE BYŁY DLA TYCH, KTÓRZY WZIĘLI UDZIAŁ WE WRZEŚNIOWYM ZLOCIE CHORĄGWI WAŁBRZYSKIEJ ZHP, O KTÓRYM PISZEMY NA STRONIE 4.

HERREYS w Polsce!

Minął rok od czasu, gdy trzech braci Herreys Michael, Richard i Louis zwyciężyło w finale konkursu Eurowizji 1984 w Luksemburgu. Do tego momentu nie znał ich prawie nikt. Piosenką „Diggi Loo Diggi Ley" podbili Europę... W sierpniu 1985 roku trójka młodych śpiewających i tańczących Skandynawów przyjechała do Sopotu, by... wygrać i ten festiwal.

Ich popularność ciągle rośnie, płyty rozchodzą się błyskawicznie. Longplay „Crazy People" stał się złotą płytą w Szwecji i Finlandii.

I oto trzej młodzi Szwedzi przyjeżdżają do Polski! Na koncertach' zaprezentują program „Crazy People Tour'85". Będą wszystkie największe przeboje od „Diggi Loo Diggi Ley" przez „Summer Party" do „Crazy People". Koncerty Waszych ulubieńców odbędą się: **24 X br. we Wrocławiu, 25 X - w Warszawie na Torwarze o godz. 19.00 i 26 X - w Gdańsku.**

ŁĄCZA '85

czyli jesienne harce śląskich harcerzy

KATOWICE (Inf. wł.). Dużą przygodą dla 130 uczestników był 2 nocny rajd harcerzy starszych - ŁĄCZA'85. Wędrowano trzema szlakami turystycznymi wiodącymi przez lasy tarnogórskie i lublinieckie, aby nad ranem dotrzeć do ośrodka Hufca Gliwice i Łączy. Nocna wędrówka, przy blasku latarek i księżyca była jednak tylko pretekstem do odbycia się w dniach 28-29 września jesiennych harców harcerzy starszych. Pogoda dopisała i przez dwa dni bawiono się i dyskutowano na wszechnicach i kuźnicach. Oczywiście nie o samą zabawę tu chodziło. Imprezy były świetną okazją do prezentacji doświadczeń i wiedzy harcerskiej poszczególnych ekip rajdowych. Śpiewano dużo i przy każdej okazji. Nie obyło się więc bez konkursu piosenki, którego zwycięzczynią została 40 drużyna harcerzy starszych z hufca „Ziemi Tarnogórskiej". Druga noc spotkania to najpierw nocny bieg na orientację a potem wielkie ognisko trwające do białego rana. Plonem ma być wydanie śpiewnika rajdowego opracowanego przez samych uczestników rajdu. Niedziela to już zakończenie imprezy. Przed południem odbyła się jeszcze giełda rozmaitości i turniej zastępów. Finałowym akcentem stał się mityng, na którym wszyscy podpisali apel o pokój. Uczestnicy rajdu wyjechali zadowoleni i bogatsi o nowe doświadczenia, a organizatorzy, czyli 25 DH „Wierchy" z Gliwic zebrali gratulacje za wzorowe przygotowanie i prowadzenie wszystkich rajdowych imprez, (**esz**)



KUCHCIK*

1. Zabrał na wycieczkę lub biwak odpowiedni prowiant
2. Ugotował ciepły posiłek na kuchence turystycznej oraz na prostej, samodzielnie zbudowanej kuchni polowej.
3. Przyrządził dla zastępu wspólnie z innym harcerzem śniadanie, obiad z 2 dań i kolację.
4. Zmywał i czyścił po użyciu naczynia kuchenne, naostrzył noże.

Sprawność może być formą zaliczenia próby na stopień ochotnika w zakresie pionierki (kucharstwa).

48



KARTOGRAF***

1. Wykonał z pamięci szkic sytuacyjny terenu.
2. Dokonał z zespołem pomiaru terenu nadającego się na urządzenie zgrupowania obozów drużyn albo pomiaru części miasta nadającego się na park lub ogród dziecinny albo sportowy, wykonał szkic tego terenu, opracował ogólny szkic własnego projektu urządzenia zgrupowania obozów, parku, ogrodu dziecinnego, itp.
3. Pokierował wykonaniem przez zespół mapy terenu o powierzchni 2-3 km² w podziałce: 1:10000, zestawionego z wielu szkiców całego zespołu, w tym ze szkiców własnych.
4. Przeprowadził dla młodszych szkolenie z zakresu terenoznawstwa, oparte na praktycznych ćwiczeniach i grach terenowych.
5. Urządził trasę do imprezy ną orientację, współorganizował zawody ną orientację.

Sprawność może być formą realizacji zadań próby Harcerza Orlego z zakresu *„HO dba o zdrowie i rozwija swą sprawność fizyczną" oraz* próby Harcerza Rzeczypospolitej z zakresu *„doskonalenia harcerskiego".*

41



RATOWNIK***

1. Zorganizował zespołowe udzielanie pierwszej pomocy podczas gry ratowniczej w dużym wypadku (np. „katastrofie kolejowej", „pożarze wsi", „nalocie nuklearnym", itp).
2. Organizował lub brał udział w akcji społecznej służącej poprawie kultury sanitarnej lub ochronie zdrowia.
3. Przygotował innego harcerza do próby sanitariusza i przeprowadził próbę.
4. Odbył próbę mistrzowską: pełnił przynajmniej 5 dyżurów w pogotowiu ratunkowym lub w szpitalu wykonując prace pomocnicze.

Próbą mistrzowską może być również służba w ambulatorium lub szpitaliku obozowym.

Sprawność może być formą zadania próby na stopień Harcerza Orlego w dziedzinie „HO dba o zdrowie i rozwija swoją sprawność fizyczną".

46



SYGNALISTA**

1. Zorganizował w terenie pracę stacji sygnalizacyjnej. Nadawał i odbierał depeszą alfabetem Morse'a z szybkością co najmniej 15 znaków literowych na minutę.
2. Odczytał i nadał sygnały umowne ręką i gwizdkiem podczas marszu drużyny.
3. Podłączył telefon polowy do linii jedno- i dwuprzewodowej, sprawdził obwód, nawiązał łączność i przekazał meldunek.
4. Opracował tajny szyfr dla zastępu, drużyny.
5. Zorganizował grę dla zastępu lub drużyny, w której trzeba było wykorzystać umiejętności sygnalizacji.
6. Wykonał przyrząd do sygnalizacji (chorągiewki, tarczę, brzęczyk itp.).

Sprawność może być formą realizacji zadań na stopnie odkrywcy i wędrownika oraz w ramach „próby harcerza starszego".

43



SPRAWA DLA POSŁA

ABY NAUCZYCIELE BYLI PEDAGOGAMI

Najważniejszą sprawą, którą poruszyłabym w Sejmie jest „dziwna choroba" atakująca szkoły nie posiadające pedagoga. Choroba ta nazwana przeze mnie Garbem Pedagogicznym rozpowszechnia się wśród nauczycieli-wychowawców i nie tylko. Podaję konkretny przykład z własnego podwórka. Wyobraźcie sobie, co dzieje się z uczniem, któremu profesor, uczący chemii i fizyki, wbija do głowy, że „minął się z celem; że ogólniak jest dla dobrych uczniów itp.". Podbuduję jeszcze Waszą wyobraźnię kilkoma szczegółami: otóż ten sam uczeń (tak pedagogicznie ustawiany przez pana profesora) przy końcu I semestru i na końcu roku szkolnego musi przez tydzień uczestniczyć w oblężeniu gabinetu chemiczno-fizycznego i zdawać na ocenę dst. 5—10 razy. Takich nieszczęśników, którzy „minęli się z celem" wg pana profesora, jest około 60% w każdej klasie. W ubiegłym roku szkolnym pierwszoklasiści dość ciężko przeszli „chrzest bojowy" w pracowni chemiczno-fizycznej, były nawet przypadki omdlenia, natomiast jedna z moich koleżanek podejrzewała się o chorobę psychiczną, ponieważ ucząc się chemii w domu stawała przed lustrem, mówiła wzory i prawa, i sama siebie chwaliła głosem profesora „No dobrze, widzę,że się orientujesz. Masz trzy na koniec roku".

Pan profesor usiłuje nam wbić do głów ideał człowieka umiejącego do perfekcji chemię i fizykę. Człowiek ten uczęszcza do liceum, w którym 7 godz. tygodniowo zajmują zajęcia j. francuskiego i przy okazji nauki chemii i fizyki też należy się uczyć francuskiego (nie mówiąc o innych przedmiotach). Takie są skutki pseudopedagogicznych metod, które są objawami odkrytej przeze mnie choroby.

Następny przykład dotyczy już ogółu: wielu z nas zna sakramentalne zdanie: „Dość spraw klasowych, nie zdążymy omówić tematu". Jest to odpowiedź skierowana do ucznia chcącego załatwić np. sprawę nieobecności w szkole. Załatwianie takich spraw na lekcji przedmiotu, którego uczy wychowawca, jest jedyną możliwością, ponieważ godzina wychowawcza jest tylko raz w tygodniu.

Te dwa wyrazy: godzina wychowawcza działają na mnie jak przysłowiowa „płachta na byka", skłoniły mnie nawet do ułożenia prostego zadania matematycznego (do wglądu nauczycieli matematyki czujących powołanie do zawodu pedagoga szkolnego). Oto ono: W pewnej szkole bez pedagoga nauczyciel-opiekun na godzinie wychowawczej poruszył sprawy natury pedagogicznej. Dotyczyły one 50% uczniów klasy mu podlegającej. Klasa liczyła 30 osób, a czas trwania g. wychowawczej wynosi 45 minut. Oblicz ilość czasu przypadającą (średnio) na załatwienie spraw (nie zapomnij wykorzystać danych).

I tu następuje coś nieprawdopodobnego! Rewelacja! Eureka! I to rewelacja nie tyle matematyczna co pedagogiczna t = 3 minuty ! Z powyższego można wywnioskować dwie rzeczy: albo szkolnictwo dysponuje pracownikami na miarę XXI wieku, albo problem ucznia trudnego został zlikwidowany całkowicie (oczywiście bez pomocy pedagoga). Ale przestańmy się czarować tymi futurologicznymi wnioskami, rzeczywistość jest trochę inna. Ciągle słyszymy o wagarowaniu, słabych, wynikach w nauce, część uczniów nie wie, jak i po co się uczyć. Problemy te są szczególnie nasilone w szkołach nie posiadających pedagoga, ale powtarzają się także tam, gdzie działają gabinety terapii pedagogicznej, po prostu zawód pedagoga traci wśród młodzieży autorytet

Wydaje mi się, że spółka: pedagog+psycholog (w każdej szkole) załatwiłaby wiele spraw. Będąc posłem na pewno poruszyłabym tę sprawę.

Katarzyna Buczkowska
woj. wrocławskie

OTO CO MNIE GRYZIE...

Prawie miesiąc wakacji spędziłam na zwiedzaniu polskich Tatr, których urok przyćmiewało niechlujstwo niektórych turystów. Turyści ci, nie bacząc na przepisy, zrywali całe bukiety chronionych kwiatów, na grzeczne zwróconą uwagę odpowiadali niezbyt kulturalnie.

Śmieci także rzadko wpadają do ustawionych do tego celu pojemników. Jednak, aby dostrzec jak środowisko naturalne jest niszczone przez nas samych, nie trzeba się zapuszczać aż w Tatry, wystarczy wyjrzeć przez okno: połamane gałęzie drzew, podeptane krzaki najlepiej o tym świadczą. Ustawione płotki ogradzające oazy zieleni naszych szarych osiedli nie są wystarczającym argumentem do powstrzymania ludzi, którzy wydeptują coraz to nowe ścieżki na zielonych wyspach.

Gdy się podniosło wzrok nieco wyżej ponad dachy domów - łatwo zauważyć zwały czarnych, kłębiastych dymów zasłaniających nam promienie słoneczne, dymów wypluwanych przez gigantyczne rury zwane kominami fabryk, hut, kopalń. Te huty i fabryki oznaczają cywilizację, jednak nie tylko - niszczą środowisko naturalne, które ginie bezpowrotnie. Czy nie da się temu zapobiec?

Tom
Ostrów Maz.

WALKA Z MARNOTRAWSTWEM

Chociaż chodzę dopiero do I klasy LO jestem żywo poruszona marnotrawstwem cennych' materiałów budowlanych, jakie spotykam na każdym kroku. Przykłady? Przebywając latem nad jeziorem Sarcz w woj. pilskim zauważyłam na poboczach drogi masę asfaltu, pozostawionego na pastwę losu. Mieszkam na nowym osiedlu mieszkaniowym w Poznaniu. Wokół budowanego domu leżą płyty zniszczone przez nieostrożność budowlanych. Marnotrowatwo jest plagą, z którą musimy wszyscy walczyć. Uważam, że kary powinny być tak wysokie, żeby nikomu nie opłacało się marnować.

Inka

PÓKI NIE JEST ZA PÓŹNO...

Za ważne na dziś zadania dla posła uważam zdecydowane podjęcie walki z alkoholizmem.

Nie oszukujmy się. Dotychczasowe wysiłki Sejmu związane z alkoholizmem były mierne lub krótkotrwałe. Moim zdaniem powinny one być zdecydowane. Bo jaki jest stan — widzimy wszyscy. Pije się prawie wszędzie: w urzędach, fabrykach, szpitalach itp. A nawet pito w mojej byłej szkole! (co świadczy dobitnie o skali problemu). Podam konkretny przykład z życia:

Pojechałem z tatą do zakładu mechaniki samochodowej, aby usunąć usterkę w samochodzie. Obsłużono nas w miarę szybko i kulturalnie. Lecz ku naszemu ogromnemu zdziwieniu mechanicy zażądali zapłaty nie w obowiązującej walucie, lecz w alkoholu! Przykładów podobnego zachowania, można by mnożyć. I jak tak dalej pójdzie, to za towary i usługi będziemy płacić.alkoholem...

Problem jest ogólnokrajowy i uważam, że nie jest jeszcze za późno na to, by zacząć coś konkretnego w sprawie robić!

Jerzy (licealista)
Białystok

KĄCIK PRZYJACIÓŁ

Interesuje mnie muzyka rockowa, lubię Corę, „Wham", George'a Michaela, „Papa Dance". Mam psa. Zbieram kaktusy. Chciałabym nawiązać kontakt z osobami o podobnych zainteresowaniach, **Magdalena Karpińska, ul. Emilii Plater 80/4, 71-632 Szczecin**; ● Interesuję się sportem, muzyką rockową, zbieram plakaty zespołów. Lubię zwierzęta, **Joanna Zera, ul. Kaliningradzka 63/48,10-373 Olsztyn;** ● Nazywam się Nowakówna. Chcę się dowiedzieć ilu moich rówieśników ma takie samo nazwisko. Pragnę nawiązać z nimi kontakt z innymi rówieśnikami również! **Ewa- Nowak, Radzim 89-430, Kamień;** ●Mam 16 lat i chciałabym korespondować z moimi rówieśnikami. Lubię muzykę rozrywkową, zwierzęta i kwiaty. Zbieram widokówki i opakowania po czekoladach. Lubię czytać książki i chodzić na spacery, **Krystyna Marchewa, ul. Kusocińskiego 13/9, 44-330 Jastrzębie VI;** ● Moje zainteresowania to film, muzyka, literatura. Lubię się śmiać, ciekawi mnie świat, ludzie, przyroda. Mam 17 lat, **Anna Sochaj, ul. Roździeńskiego 86 m. 16,40-103 Katowice;** ● Mam 14 lat. Interesuję się sportem. Zbieram znaczki i widokówki, **Teresa Bura, 23-407 Terespol 190;** ● Jestem spod znaku Wagi, mam piwne oczy, długie kręcone włosy i 14 lat. Lubię zespół „Papa Dance" wraz z piosenką pt. „Kamikadze wróć". Pragnę korespondować z rówieśnikami. Nie znoszę szpanu i papierosów, **Renata Drozdek, 68-112 Dzietrzychowice, woj. zielonogórskie;** ● Mam 11 lat. Nie mam przyjaciela i nigdy od nikogo nie dostałam listu, choć pisałam do kilku osób z „KP". Lubię zwierzęta, książki, muzykę rockową, wróżby i język polski. Chętnie czytam „Świat Młodych", „Zarzewie", „Płomyk", „Płomyczek", „Świerszczyk" i „Misia". Jeśli ktoś do mnie napisze, niech siebie opisze. Ja mam długie ciemne włosy, piwne oczy i jestem szczupła, **Wioletta Humin, Wólka Kraśniczyńska, 22-310 Kraśniczyn, woj. chełmskie**.



Nie w sile... siła

Zapowiadał się na fajnego kolegę, lecz po paru dniach roku szkolnego zaczął rozrabiać. Obcinał dziewczynom warkocze i nadal tak robi, bije chłopców i dziewczynki, obrzydliwie pluje, a nawet pali papierosy, choć ma dopiero 11 lat. Chciałem mu wytłumaczyć, że tak nie wolno robić, lecz zanim wypowiedziałem słowo, poczułem jego „piąstkę" na swoim nosie. Nie można go „zlać" bo jest najsilniejszy w klasie, Proszę poradźcie co mamy robić?

Paweł i koledzy

OD REDAKCJI: Może z tym kolegą nie trzeba siłą, lecz „po dobroci". Bicie czy temu podobne sposoby dawania mu nauczki jeszcze bardziej go rozdrażnią. Spróbujcie wybadać, czym się interesuje - może lubi sport, albo jest niezłym rysownikiem czy organizatorem. Włączcie go we wspólne sprawy klasy - niech znajdzie się w waszym zespole sportowym, uczestniczy w robieniu gazetki ściennej. Jego energię można i trzeba skierować na pożyteczne cele. Zastanówcie się nad tym wspólnie z wychowawcą. (es)

Nie wstydzę się dzieciństwa

Mam 14 lat i bardzo często słyszę od koleżanek, że zachowuję się nie tak jak przystoi dziewczynie w tym wieku. Okropność! One próbują za wszelką cenę wciągnąć mnie w ten, ich zdaniem, dorosły świat. A ja uważam, że trzeba korzystać ze swobody, jaką nam daje dzieciństwo. Czasami mam chęć powygłupiać się, pobawić jak pięcioletnie dziecko. Niestety! We dwójkę byłoby zawsze, raźniej, a moich kumpli nie da się przekonać. Oni przystosowują się do otoczenia, nie mają własnego zdania. Gdy zaczynam się wygłupiać, to pukają się w czoła i mówią, że zachowuję się jak dziecko. I jak to znieść? I Ci, którzy piją i palą, chcą udawać dorosłych, a postępują jak nieodpowiedzialni smarkacze. Może kiedyś, jak dorosną, zatęsknią do tego pięknego okresu życia, do beztroski. Myślę, że ci wszyscy, którzy za szybko chcą być dorośli, wiele tracą, sami okradają się z pięknych przeżyć. Czy nie lepiej wspominać dzieciństwo jako beztroskę, zabawę, naukę a nie jako czas osnuty papierosowym dymem, pobrzękujący butelkami opróżnionym w imię fałszywej dorosłości? Co o tym sądzicie?

Iwona

Dla chłopca zrezygnowałam z idola

Piszę do Was, bo chciałabym się komuś zwierzyć.

Do niedawna lubiłam George'a Michaela. Przez cały czas mogłam siedzieć i słuchać jego piosenek.

Niedawno poznałam chłopca, w którym się zakochałam. Marek (tak ma na imię) początkowo nie zwracał uwagi na mojego idola, Po pewnym czasie zaczęło go jednak denerwować to moje codzienne mówienie o George'u i słuchanie jego piosenek. Aż kiedyś nie wytrzymał i powiedział mi, że już dłużej nie może tego znieść i jeżeli chcę z nim nadal chodzić, muszę wybrać: on albo George Michael. Po tym wszystkim wcale nie byłam na niego zła. Zrozumiałam, że mam chłopca, który naprawdę mnie kocha i dla którego warto zrezygnować z idola. Teraz staram się zapomnieć o sławnym piosenkarzu i zmienić na lepsze. Uświadomiłam sobie bowiem również, że przez nierealną miłość do piosenkarza mogłam doprowadzić do zerwania naszego uczucia i utracić kochanego chłopca. Myślę, że wiele czytelniczek, i czytelników zgodzi się ze mną.

Jolka

Uwaga! Alicjo z Olsztyna! Z powierzchownego opisu trudno nam podać dokładną diagnozę. Naszym zdaniem masz po prostu trądzik młodzieńczy. Stosuj więc dalej ziółka, ale przede wszystkim zgłoś się jak najszybciej do lekarza dermatologa.



HIGIENISTA*

1. Zna i przestrzega zasad higieny osobistej—w domu, na wycieczce, biwaku i obozie, propaguje je wśród kolegów.
2. Skompletował apteczkę osobistą oraz polową apteczkę zastępu na ćwiczenia terenowe, wycieczkę lub biwak.
3. Założył opatrunek na ranę, zabandażował palec, przedramię, kolano.
4. Zaradził w przypadku: krwotoku z nosa, stłuczenia, otarcia nogi, odmrożenia, oparzenia, zaprószenia oka, ukąszenia. Umiejętnie wykorzystał chustę trójkątną.
5. Zmierzył temperaturę, tętno.
6. Pełnił służbę sanitarną na biwaku lub obozie, brał udział w kontroli czystości, dezynfekował latrynę lub dół na odpadki.
7. Brał udział w grze ratowniczej, zaradził w niewielkim wypadku, przeniósł chorego we dwóch lub w trzech, wezwał pogotowie ratunkowe.

Sprawność można zaliczać na stopień tropiciela w zakresie samarytanki.

44

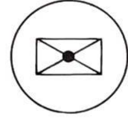


SANITARIUSZ**

1. Zaradził w przypadkach omdlenia, zatrucia, udaru słonecznego, zaczadzenia, krwotoku, porażenia prądem, utonięcia, silnego stłuczenia, złamania otwartego kończyny, prawidłowo przeprowadził sztuczne oddychanie i masaż serca.
2. W fikcyjnym wypadku w grze ratowniczej ustalił rodzaje urazów oraz zorganizował udzielenie pierwszej pomocy, w tym zorganizował transport poszkodowanych, przygotował dla nich pomieszczenie i zorganizował opiekę.
3. Przeprowadził wspólnie z zastępem akcję profilaktyczną wykazującą szkodliwość tytoniu, alkoholu, nadużywanie leków, narkotyków dla zdrowia.
4. Pełnił służbę sanitarną w ambulatorium obozowym lub szkolnym, na biwaku, itp.

Sprawność może być formą zaliczenia próby na stopnie odkrywcy i wędrownika.

45



ŁĄCZNIK*

1. Bezbłędnie w czasie gry terenowej przekazał ustny meldunek lub rozkaz złożony z 15—20 słów przenosząc go na odległość 1 km lub po 10 minutach od momentu usłyszenia.
2. Zapisał prostym szyfrem lub alfabetem Morse'a list składający się z około 100 liter. Odczytał tekst napisany szyfrem lub alfabetem Morse'a.
3. Zaadresował i wysłał list, telegram lub list polecony, przekaz pieniężny, paczkę.
4. Odszukał w książce telefonicznej potrzebny lub wskazany numer, przeprowadził rozmowę z telefonu domowego, miejskiego lub łączności międzymiastowej. Podał z pamięci numery telefonów: pogotowia ratunkowego, straży pożarnej, MO, macierzystej komendy hufca.
5. Przez jeden miesiąc pełnił służbę łącznika drużyny z komendą hufca, przekazując do komendy informacje, meldunki o pracy drużyny, a drużynie - informacje uzyskane w komendzie hufca.

Sprawność może być formą realizacji zadań na stopnie tropiciela i odkrywcy.

42



KUCHARZ**

1. Ułożył jadłospis wraz z kosztorysem na trzydniowy biwak zastępu. Dokonał zakupu prowiantu i rozliczył się z wydatków.
2. Wybrał dobre miejsce i sprawnie urządził z 2-3 harcerzami kuchnię polową oraz magazynek produktów żywnościowych, wykonał dół na odpadki, zamaskował miejsce po kuchni.
3. Trzykrotnie dobrze wypełnił służbę kuchcika na biwaku lub obozie:
   - ugotował dwa rodzaje zup mlecznych
   - estetycznie przyrządził kanapki na śniadanie i kolację, przyrządził ciepły posiłek na kolację
   - ugotował trzy rodzaje zup i przyrządził trzy różne drugie dania obiadowe, w tym jedno mięsne i jedno jarskie.
4. Przyrządził posiłek z roślin leśnych.
5. Przygotował małe spotkanie towarzyskie z herbatką, zimnymi napojami, słodyczami, ciastem, kanapkami.
6. Konserwował sprzęt kuchenny po biwaku.

Sprawność może być formą zaliczenia próby na stopień odkrywcy i wędrownika z zakresu pionierki (kucharstwa).

47

31 Października tego roku minie 40 lat od śmierci Wincentego Witosa. Ostatnią funkcję publiczną jaką pełnił, było stanowisko wiceprezydenta Krajowej Rady Narodowej. Obdarzony tą godnością został w czerwcu 1945 r. Miał jednak wówczas 71 lat, był znękany chorobą, która toczyła go od dłuższego czasu, nie zdążył więc już wziąć faktycznego udziału w życiu politycznym wyzwolonej Polski. Jego obec-ność w KRN miała charakter symboliczny. Oto do organu powołanego przez lewicę wchodził przedwojenny mąż stanu, były premier i przywódca Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast".

Wincenty Witos miał za sobą życie bogate w najróżnorodniejsze wydarzenia. Trzykrotnie był premierem, ale też doświadczył bezprawnego aresztowania i uwięzienia w twierdzy brzeskiej, poznał także los emigran-ta politycznego przebywając w latach 1933-1939 na wygnaniu w Czechosłowacji. W pamięci potomnych zapisał się przede wszystkim jako przywódca polskich chłopów i obrońca ich interesów.

Ten syn małorolnego chłopa, urodzony 21 stycznia 1874 r. w Wierzchowicach (w powiecie tarnowskim) swą życiową zywało na to, że - jak miliony innych galicyjskich chłopów, będzie Wincenty Witos pędzić życie biedne, wypełnione harówką od rana do zmroku, a jedyną jego nadzieją na przyszłość stanie się zebranie paru koron, dokupienie ziemi i zapewnienie nieco lepszej doli swoim dzieciom.

Stało się jednak inaczej. W jego osobie ucieleśnił się na polskiej ziemi mit o przeistoczeniu pucybuta `w milionera. Wprawdzie Witos nie zdobył nigdy majątku, ale w ciągu niespełna 40 lat przebył drogę od pastuszka jedynej krowy swego ojca, do fotela premiera rządu w Rzeczypospolitej Polskiej.

Do tych wysokich stanowisk zawiodła do działalność w ruchu ludowym. Już w 17 roku życia zaczął pisać do gazety „Przyjaciel Ludu". W 1900 roku organizuje wybory do swojej macierzystej Rady Gminnej, a osiem lat później zostaje wójtem gminy Wierzchosławice i pełni tę funkcję nieprzerwanie przez 23 lala. Nie zrzeka się swego wójtostwa nawet przewodnicząc kolejnym trzem gabinetom rządowym.

Najważniejszym celem Witosa było uczynienie z warstwy chłopskiej pełnoprawnego uczestnika życia społeczno-politycznego w odrodzonej Pol-



Wincenty Witos i jego trzeci gabinet. Maj 1926 r.

PREMIER BEZ KRAWATA I MATURY

I polityczną wiedzę zaczął zdobywać nie na uniwersytetach,, ale w twardej szkole życia. Już jako kilkunastoletni chłopiec musiał podjąć pracę drwala w pobliskich lasach księcia Sanguszki. W przepisowym wieku nie poszedł do szkoły. Przyczyna była prozaiczna: brak butów i ubrania. Calą zimę musiał więc mały-Wicek przesiedzieć w chałupie, a w lecie potrzebny był w gospodarstwie. Dopiero kiedy skończył 10 lat matka zapisała go do szkoły. Skończył tam dwie klasy i to była cala jego formalna edukacja. Wszystko więc wska-sce. Nie było to zadanie łatwe. Między innymi z tego powodu, że wielu chłopów wręcz obawiało się nadejścia niepodległej ojczyzny. *„Chłopi* - wspominał Wincenty Witos - *wiedzieli o Polsce takiej jaka ona była: nierządnej, pańszczyźnianej, hulackiej, niesprawiedliwej, drżąc śmiertelnym strachem przed jej powrotem. Polska dla nich to powrót do pańszczyzny, to przeklęte rządy pańskie, to ekonom z harapem, ćwiczący dowolnie i bezkarnie pracujących ludzi (...) Rządy zaborcze zabezpieczały im przynajmnej pewność życia i zdrowia, porządek i jaką taką sprawiedliwość".*

Olbrzymia praca oświatowa i patriotyczna prowadzona na polskiej wsi spowodowała , że u progu niepodległości, w 1918 r. polskie chłopstwo myślało już i czuło inaczej. Wincenty Witos będący wówczas prezesem Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast" miał jednak jeszcze przed sobą wiele do zrobienia. Najważniejszą batalią,, którą toczył przez wiele lat była walka o prawo chłopów do ziemi. Zasady reformy rolnej, która miała to prawo sankcjonować, Sejm ustalił już w lipcu 1919 r. Jednak dopiero rok później uchwalono projekt ustawy o banku rolnym (o przeznaczeniu 1 miliarda marek polskich na parcelację gruntów pomiędzy bezrolnych i małorolnych chłopów. Zrobiono to zresztą przede wszystkim dlatego, że u wrót stolicy stała Armia Czerwona. W takiej to zresztą sytuacji powołano Wincentego Witosa po raz pierwszy, na stanowisko premiera. Jego osoba miała zachęcić chłopów i robotników, aby wstępowali do wojska.

Po raz drugi Witos został premierem w 1923 r. Był to tak zwany rząd Chjeno-Piasta, powstały w wyniku zawarcia sojuszu parlamentarnego pomiędzy PSL-Piast a Chrześcijańskim Związkiem Jedności Narodowej. Nie były to dobre czasy dla Polski. Inflacja i bezrobocie wzrosły do zastraszających rozmiarów. Z tego okresu pochodzi porzekadło: „za rządów Witosa ludność głodna i bosa". Nawet jednak w tamtych trudnych czasach, gdy społeczne nastroje nie były Witosowi przychylne, nie zapomniał on, z jakiej warstwy się wywodzi. Szeroki rozgłos zyskał jego okólnik skierowany do urzędników administracji centralnej i terenowej: *„Panowie urzędnicy muszą zrozumieć, że (...) w Polsce odrodzonej nie ma przywilejów. Każdy kto do urzędu przyjdzie, bez względu na to, czy w sukmanie wieśniaczej czy to w miejskim ubraniu, czy w bluzie robotniczej, musi mieć jednakowy przystęp do każdego urzędnika i musi być jednakowo życzliwie traktowany."*

Witosowi także zawdzięczano prawa, które później stały się nawet przykładem dla Europy. Unormowano czas pracy, wprowadzono ubezpieczenia społeczne, ubezpieczenia od wypadków, zapewniono ochronę pracy młodocianych i kobiet.

Po raz trzeci powierzono Wincentemu Witosowi ster rządów w maju 1925 r. Jego rząd upadł jednak już w dniu, w którym się ukonstytuował. Było to wynikiem zamachu stanu przeprowadzonego przez Józefa Piłsudskiego. Od tego dnia Witos poświęcił się bez reszty walce z sanacją. Kategorycznie odmawiał wszelkich rozmów z zamachowcami. Gdy tuż po zamachu odbywało się posiedzenie Zarządu Głównego PSL „Piast", zadzwonił telefon. Najbliżej siedzący podniósł słuchawkę i usłyszał: „Tu premier Bartel. Z polecenia Marszałka Piłsudskiego chcę mówić z prezesem Witosem." Wtedy ten, nie wahając się odpowiedział (trochę zbyt głośno): „Powiedz mu pan, niech mnie pocałuje w d...". Gdy rozmówca Bartla począł mu wyjaśniać, że prezes jest chwilowo zajęty, premier odrzekł: „Dziękuję panu, odpowiedź pana Witosa słyszałem."

W nocy z 9 na 10 IX 1930 r. wraz z innymi przywódcami opozycji, posłami, którym prawo zapewniało nietykalność, został aresztowany i osadzony w twierdzy w Brześciu. Podstawą aresztowania nie był nakaz sądowy, lecz polecenie ministra spraw przewrotów wewnętrznych. W procesie brzeskim skazano Witosa - oskarżonego o przygotowywanie przewrotu - na 1,5 roku więzienia. Przed uprawomocnieniem się wyroku udał się on w 1933 r. na emigrację do Czechosłowacji. Nadal wpływał jednak na kierunek polityki ruchu ludowego, kierował także grupą zwolenników ostrego kursu antysanacyjnego, którzy m. in. przygotowali wielki strajk chłopski w 1937 r. Do kraju powrócił w przeddzień wybuchu II wojny światowej, w marcu 1939 r.

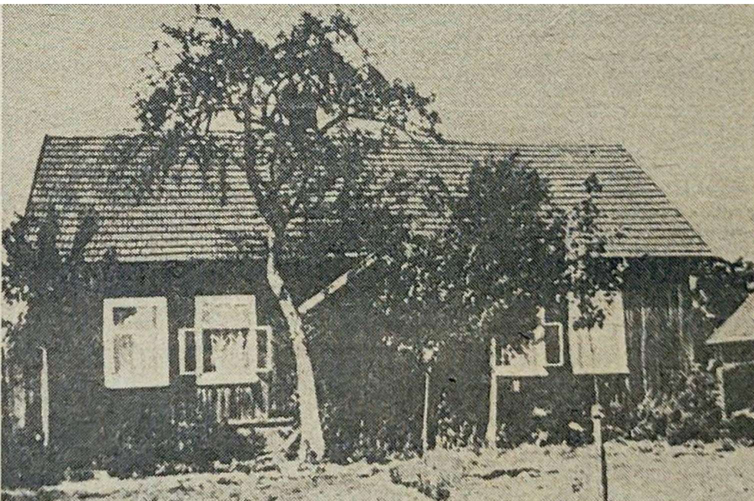
Działalność i koncepcje polityczne Wincentego Witosa zmieniały się. Poczynając od ludowego radykalizmu, poprzez kompromis z prawicą, az do postawy wybitnie antysanacyjnej. Nigdy nie zbliżył się do ruchu robotniczego. Większość historyków - choć nie wszyscy - twierdzi, że żywił on nieufność wobec klasy robotniczej i jej partii politycznych. Był jednak niewątpliwym przywódcą polskich chłopów. Żywiono wręcz kult jego osoby. Wielką popularność zawdzięczał również temu, że nawet wówczas, gdy zajmował najwyższe godności w państwie, gospodarzył osobiście na roli, był wójtem w swojej rodzinnej wsi, a swą chłopskość podkreślał również gestem, słowem i strojem.

Dziś w Warszawie stoi już pomnik chłopskiego wodza. Wydano znaczek z jego portretem, a mennica wybiła medal i monetę z jego wizerunkiem. I chociaż historycy będą pewnie jeszcze przez długie lata toczyć spory o ocenę jego działalności, to ugruntowała się już opinia, że oprócz Piłsudskiego i Dmowskiego był Wincenty Witos postacią, która w znaczący sposób odcisnęła swe piętno na losach II Rzeczypospolitej.

MICHAŁ MALICKI
Fot. archiwum i M. Zieleniewska



Pomnik Wincentego Witosa odsłonięto w Warszawie 22 września br. u zbiegu ulic Wiejskiej i Prusa. Właśnie tędy chłopski poseł zdążał na sejmowe sesje.



Dom Witosa w Wierzchosławicach (fotografia sprzed 1939 r.)

„Malowanie hektarów"

GDAŃSK (PAP). O 40 proc. został skrócony czas prac konserwacyjno-malarskich w Gdańskiej Stoczni Remontowej dzięki zastosowaniu nowych urządzeń, technologii i farb. Pomalowanie hektara powierzchni statku trwa tylko 5 dni.

Operowanie hektarami czyszczonych i malowanych powierzchni blach w dużej stoczni remontowej - a gdańska jest największą na Bałtyku - to nie żadna przesada. Kilka, a nawet kilkanaście tysięcy metrów kwadratowych, to norma dla jednego statku. Prace konserwacyjno-malarskie zawsze należały w stoczni do sprawiających najwięcej kłopotu. Trudno też było znaleźć ludzi do ich wykonywania, mimo windowania coraz wyżej plac. Mało kto chciał - z uwagi na zapylenie i nasycenie powietrza szkodliwymi substancjami - ryzykować zdrowiem.

Nowa metoda malowania tzw. farbami samopolerującymi ma wiele zalet. Choć jest droższa, armatorzy chętnie zamawiają tę właśnie usługę, ponieważ opłaca im się to w eksploatacji: pomalowany w ten sposób kadłub stawia mniejszy opór w wodzie. Jednakże zastosowanie farb samopolerujących wymaga znacznie dokładniejszego czyszczenia blach niż to było możliwe dotychczas posiadanymi przez stocznię urządzeniami. Trzeba się było zatem zdecydować na kompleksową modernizację całego procesu. Część sprzętu zakupiono w USA i RFN, pozostałe urządzenia budowane są na podstawie krajowego projektu przez Zakłady Techniki Okrętowej „Techmor". Część z nich już pracuje. Efekty - jak wskazano wyżej.

Stop! Żaba na drodze!

W. BRYTANIA (PAP). Wprawdzie nie wszystkie szczegóły są już przesądzone, ale jedno nie ulega wątpliwości — w W. Brytanii na nowym znaku drogowym wymalowano... ropuchę. Jak do tego doszło.

Corocznie w marcu i kwietniu następuje okres rozmnażania się ropuch. Masowo wyprawiają się one wówczas w drogę, by znaleźć odpowiednie dla swego potomstwa środowisko wodne. Tysiące żab, przecinając drogi samochodowe, ginie pod kołami pędzących aut.

Orędownicy ochrony środowiska przyrodniczego organizowali dotychczas w tym okresie specjalne zespoły, które obserwowały migrację ropuch i uprzedzały o niej kierowców. Nie przyniosło to jednak pożądanych wyników, Dlatego wiosną 1983 r. tytułem próby w 40 miejscach na drogach Anglii umieszczono odpowiednie znaki ostrzegawcze. Rezultaty pozwalały żywić nadzieję na sukces. W związku z tym brytyjskie władze komunikacyjne podjęły decyzję o ustawieniu - począwszy od bieżącego roku- w okresie rozmnażania się żab, 150 nowych znaków drogowych z wizerunkiem ropuchy.

Wszystkie tropy prowadzą do Shaolin Si (4)

CZY MOŻNA ZDRADZAĆ TAJEMNICE...?

„ Wszystkie sztuki walki, jakie istnieją pod niebem, narodziły się w klasztorze Shaolin"- głosi stare chińskie przysłowie. W poprzedniem odcinku naszego cyklu związanego z chińskimi sposobami bojowych walk *wu-shu,* towarzyszyliśmy mnichowi-nowicjuszowi, który przed wiekami zdobywał w klasztorze Shaolin kolejne umiejętności. Dziś idziemy dalej...

Tien–hsuen — tak nazywała się sztuka umiejętności obezwładniania i eliminowania z walki przeciwnika za pomocą tylko ciosu lub nawet dotknięcia, wykonanego z milimetrową dokładnością. Atakujący mógł nawet przewidzieć, na jak długo unieszkodliwia atakowanego. Czy tych wiadomości nie należy włożyć między, bajki? Oczywiście, że nie! Czytelnikom „Świata Młodych" nie muszę szczegółowo wyjaśniać, na czym polega akupunktura - wywodząca się z Chin lecznicza metoda nakłuwania igłami. Obok niej istnieje akupresura - metoda uciskania różnych punktów życiowo ważnych dla prawidłowego funkcjonowania organizmu człowieka. W dawnej chińskiej, medycynie uważano, że ciało posiada kanały, w których krąży energia. Każde zakłócenie krążenia energii powodowało stan chorobowy - omdlenie, nagle przerwanie działania istotnych, organów i zmysłów itp. Określano wtedy ok. 80 takich punktów witalnych, z czego 21 podstawowych. Znajdowały się one nawet w kończynach. Ich znajomości i właściwości uczyli się także mnisi wojownicy, adepci *wu-shu* w klasztorach podobnych do Shaolin. Byli wśród nich zresztą wybitni medycy.

O ile o fizycznych ćwiczeniach mistrzów *wu-shu* istnieje stosunkowo sporo wiadomości, o tyle psychiczna czy wręcz mistyczna strona przygotowań, wiążąca się z fizyczną w jedną całość, jest - bez wątpienia - stosunkowo mniej znana i opisywana. Czy wchodziło to w zakres tajemnic których adeptom nie wolno było zdradzać? Legenda mówi np. że mnich Bodnidharma (Da Mo), o którym przeczytaliście w poprzednim odcinku, przez dziewięć lat (niektóre źródła podają dwanaście) na drodze do osiągnięcia nirwany medytował samotnie w pieczarze w pobliżu Shaolin Si. Na kamieniu, przed którym siedział, odbić się miał cień pobożnego mnicha. Kamień jest do dziś jedną z klasztornych relikwii.

Uczniowie i następcy legendarnego mnicha nie usiłowali co prawda pobijać jego rekordu, ale w wyniku naśladowania medytacyjnych praktyk Da Mo wykształciła się sztuka znakomitego odprężania poszczególnych grup mięśni całego ciała na skutek wprowadzania ich w długotrwały absolutny bezruch. Pewne poszlaki wydają się wskazywać, że w tym to właśnie czasie wprowadzono do treningu walk *wu-shu* również system specjalnej umiejętności oddychania. Stąd też tylko krok do treningu jogów. Nie jest żadną tajemnicą, że metody ćwiczeń jogistycznych wyzwalają takie rezerwy fizycznych i psychicznych możliwości organizmu ludzkiego, jakie niedostępne są przy użyciu innych metod. A elementy treningu jogów stosowane są w szkoleniu... kosmonautów!

Ten czcigodny starzec - to Dechan, jeden z opatów klasztoru Shaolin

Przed tym ponoć kamieniem medytował w pieczarze przez dziewięć lat legendarny Da Mo. Dziś - jedna z klasztornych relikwii

Zajęcia w jednej ze szkół walk wu-shu w prowincji Honan. Więcej na ten temat w następnym odcinku

Kiedy po rozprawieniu się w Chinach ze słynną „bandą czworga", która pogrążyła kraj w chaosie, zaczęli do klasztoru Shaolin wracać mnisi, jako jeden z ostatnich wrócił 82-letni mistrz Hai De. Słynął on m.in. z tego, że już w okresie swego nowicjatu potrafił bardzo długo stać na dwóch palcach, a od sześćdziesięciu lat nigdy nie spał w łóżku na leżąco lecz zawsze siedząc, jak niegdyś Da Mo.

W najlepszych dniach historii Shaolin Si - „Klasztoru Młodego Lasu" przebywało tam jednocześnie do dwóch tysięcy mnichów, spośród których średnio pięciuset można było określić jako *kung-fu w* walkach *wu-shu.* Bo *kung-fu* nie oznacza samo w sobie jakiegoś stylu walki, oznacza właściwie *doskonałość, doprowadzenie jakiegoś dzieła do perfekcji.* A że przyjęło się na świecie jako potoczne określanie omawianych w tym cyklu walk - to już inna sprawa...

Opat klasztoru Shaolin od 1916 r. - Dechan (to ten czcigodny starzec na zdjęciu) - stwierdził, że hańbą byłoby być mnichem tego klasztoru i nie opanować choćby w stopniu podstawowym zasad walki. Jak podało przed kilku laty specjalistyczne pismo *„China Martial Arts Magazine"* - słynny generał Xu Shiyou, który w latach historycznego Długiego Marszu Chińskiej Armii Czerwonej dowodził dywizją kawalerii, a w ChRL pełnił później odpowiedzialne funkcje partyjne i państwowe - od ósmego do szesnastego roku życia pobierał nauki w klasztorze Shaolin. Jak podają również źródła chińskie - wieloletni premier Chińskiej Republiki Ludowej - Czou En-laj - również interesował się i trenował elementy *wu-shu.*

Nie sposób nawet w cyklu artykułów omówić wszystkich spraw związanych z okresem legendarnym i historycznym klasztoru „Młody Las" w prowincji Honan i kształtowaniem się walk *wu-shu.* Nie powiedzieliśmy na przykład jak – podobno - wykorzystano do teoriii i praktyki walki wnioski z podglądania atakujących i bijących się zwierząt: węża, małpy, tygrysa, żurawia i innych. Nie rozszyfrowaliśmy takich „poetycznie" nazywanych metod i sposobów walki, jak „lotosowe kopnięcie", „wędrówka błyskawicy", „parada chłoszczących gałęzi", czy „blokada skały". Nie omówiliśmy wreszcie takich „tajemniczych" praktyk jak „cios wibrującej ręki" czy „paralizujący okrzyk". Nie starczyłoby na to miejsca, a nie wszystkim można zdradzać jakże często niebezpieczne starożytne tajemnice walki.

Chętnie natomiast - w następnym odcinku - zapoznamy Was z niemniej ciekawą współczesnością Shaolinu i okolicy, z rozwojem *wu-shu* nie tylko zresztą w Chinach i z pewnymi zjawiskami towarzyszącymi temu, co się potocznie nazywa *kung-fu.*

JAST

Fot. archiwum

ZLOT wałbrzyskich harcerzy

Komputer wykazał, że przyjechali goście z 15 chorągwi. Od „Samych swoich" z Olecka do „Stalowego tłumoka" ze Szczecina. (Nie ma żadnej pomyłki, ów tłumok, to nie nazwa zespołu rockowego, a drużyny harcerskiej, jakby nigdy nic...).

Komputerów było na zlocie dwa, obydwa prywatne, należące do zarażonych nimi do szczętu wałbrzyskich harcerzy, Jurka i „Wyplosza". Stały w maleńkim pomieszczeniu, takim 2x2 m, w którym od rana do nocy kłębił się tłum chętnych do zaprzyjaźnienia się z mądrą maszyną, rejestrującą przybywających, „rozstawiającą" ich po terenie zlotowym, a nawet... prognozującą zainteresowanie poszczególnymi zlotowymi imprezami. Tu komputer okazał się rzetelny, ludzie zaś nie bardzo. Na przykład chęć udziału w turnieju tenisa ziemnego i dyskusji na temat „być kobietą" zgłosiły się tłumy, a jak przyszło co do czego - to w tenisa grała i o losie kobiety dyskutowała marna garstka.

Kilka rzeczy udało się organizatorom zlotu Chorągwi Wałbrzyskiej ZHP. Przede wszystkim dopisała pogoda; było cudownie ciepło, choć w dni poprzedzające zlot lało i ziębło.

Potem: przeróżne imprezy i koncerty, które proponowano uczestnikom w pierwszym dniu trwania zlotu. Do kultury garnęli się wszyscy bardzo chętnie, mniej zaś do sportu, poradni metodycznej i do wszelkiego rodzaju dyskusji. Wskazywałoby na to, że harcerz przybywa na zlot po to, żeby czas mile spędzić, niekoniecznie jednak „męcząc się" przy tym jakąkolwiek formą aktywności własnej.

Nie działał, niestety, zapowiadany salon kosmetyczny i fryzjerski, ani nie odbył się skrócony konkurs urządzania tanim kosztem prywatek i imienin, a pokaz mody tylko w połowie. Stało się zaś tak dlatego, że panie działaczki z Ligi Kobiet Polskich uznały, że współpraca z harcerzami jest dla nich po prostu nieopłacalna. Lubią one popularyzować różne pożyteczne rzeczy, ale... za godziwe wynagrodzenie, nie zaś za piękne oczy i pięknie dziękuję. Szkoda, oczywiście, że tak się stało, ale zdradę dzielnych działaczek można było przetrzymać, jako że imprez w większości przygotowanych przez same drużyny i tak było zatrzęsienie. Najbardziej interesujący był koncert nagrań Pink Floydów zaproponowany przez wałbrzyski „Fokrzekmek" z tłumaczonym „na żywo" tekstem, mówiącym o lęku współczesnego człowieka przed grożącą mu zagładą, o jego niezgodzie na to, żeby wielcy tego świata w imię sobie tylko wiadomych celów wydawali na niego wyrok: wojna i śmierć.

Drużyna „Shakti" z Pieszyc zapraszała na wspólne picie herbaty i słuchanie haiku, miniaturowych wierszy japońskich układanych przez szarych, prostych ludzi. „Shakti" mówiła wiersze o porach roku, o przemijaniu. To była propozycja dla koneserów, toteż co młodsze latorośle chichotały nerwowo, kiedy kazano im zdejmować buty i wchodzić do wyłożonego matami, niemal kompletnie ciemnego pomieszczenia.

Potem był zupełnie wspaniały nocny koncert. Sześćset osób stłoczonych w sali, która powinna pękać w szwach, a nie pękła, nuciło z Elżbietą Adamiak; owacyjnie przyjmowano pantomimę dziecięcą z Barda Śląskiego i popisy skrzypcowe niejakiego druha „Kwiatka", zachwycało się duetem gitarowym {powstałym całe pięć godzin przed koncertem). To naprawdę warto było przeżyć.

Tak minął pierwszy dzień zlotu, podczas którego organizatorzy chcieli pokazać harcerzom, że formy pracy drużyn harcerskich mogą być bardzo różnorodne, zachęcić ich do szerszego zainteresowania się kulturą, inną niż tą z sal kinowych i płyt ulubionych zespołów.

* * *

„Przerdzewiały drut oplatający korek flaszki zła puszcza"... śpiewali Pink Floydzi.

Czy to, co teraz mamy w Europie naprawdę możemy nazwać pokojem. Przecież to tylko zawieszenie broni.

Czy szary człowiek może przeciwstawiać się wojnie? Liczą się i tak wielkie machinacje i cele wielkich polityków... Siedzimy na górze trotylu...

Mało osób chciało suszyć sobie głowę problemami walki o świat bez wojen. Jak na ironię - dwa wielkie koła słuchaczy otaczały instruktorów-kombatantów, wspominających okres wojny i okupacji, a tylko garstka kłóciła się - czy warto podejmować te wszystkie małe, dostępne zwykłemu człowiekowi zabiegi, czy rzeczywiście możemy coś zrobić dla pokoju. To była naprawdę interesująca dyskusja, choć nie przyniosła zbyt wielu optymistycznych wniosków.

Zlot w Strzegomiu był podsumowaniem okresu zdobywania odznaki chorągwianej, podczas którego harcerze odnajdywali filie hitlerowskiego obozu zagłady w Gross-Rosen, gdzie zginęło 80, a może blisko 100 tysięcy osób 33 narodowości. Postanowili dotrzeć do tych miejsc, sporządzić ich dokumentację, zadbać o ich upamiętnienie. Zlot w Strzegomiu i manifestacja na terenie dawnego Gross-Rosen, miały też być ważną próbą. Próbą odpowiedzi na pytanie: czy chcemy i potrafimy walczyć o pokój czy umiemy manifestować swoje patriotyczne uczucia inaczej, głębiej niż dzieje się to zazwyczaj: kwiaty, przemówienia, apel poległych. Zamierzenie było bardzo ambitne i chyba nie jest winą harcerzy wałbrzyskich, że nie do końca wszystko się powiodło. Dyskutować o wojnie młodzi ludzie nie chcą - wszyscy się jej boją, nad wszystkimi wisi jej widmo, a zlot jest taką wspaniałą okazją do dobrej zabawy, do poznania nowych ludzi, z którymi nie mówi się przecież o rzeczach smutnych!

Z dawnych baraków obozu Gross-Rosen zostały tylko fundamenty. O zmierzchu zapłonęły na nich setki zniczy zapalonych przez harcerzy - setki dowodów pamięci. Pięknie grała pianistka-harcerka muzykę Chopina, piękna była piosenka: „Nie pamiętasz, bo nie możesz..." Co z tego jednak, skoro cały trud występujących zniweczyła fatalnie wysterowana aparatura nagłaśniająca.

Na zakończenie manifestacji teatr wałbrzyski przedstawił sztukę - historię żydowskiej dziewczynki ukrywającej się przez całą okupację. Zamierzenie piękne, ale... ale sztuka grana w niezwyczajnych, polowych warunkach, jej umowność - spowodowały, że młodzi się nudzili. Dramatu rozgrywającego się na scenie wielu po prostu nie zrozumiało... I potem, po spotkaniu, które miało wzbudzić głębokie refleksje, zrodzić bunt przeciwko przemocy i okrucieństwu - młodzi ludzie ze śmiechem ładowali się do autokarów, a jakaś szczególnie rozbawiona para tańczyła... rock and rolla. Niektórzy pewnie by się zachwycili: że to wspaniały symbol, zwycięstwo młodości, radości życia - nad śmiercią, przemijaniem. Ale to nie tak - rock and roll przed bramą obozu zagłady to triumf bezmyślności, dowód na to, że słusznie harcerze wałbrzyscy chcieli się zastanawiać - czy umiemy, czy potrafimy właściwie reagować, czy uczucia przeżywamy, czy tylko manifestujemy, czasem zupełnie bezmyślnie. I co dla nas znaczy być patriotami.

Szkoda, że jak na razie - mówi się o tym tak dużo i głośno tylko w Wałbrzychu.

Nie wszystko na zlocie w Strzegomiu przebiegło tak, jak wymarzyli sobie organizatorzy - nie władze komendy chorągwi, a harcerze z Rady Harcerzy Starszych. Tym, którzy zamartwiali się, że nie wszystkie zamierzenia się powiodły, można na pocieszenie powiedzieć, tak: niezmiernie mało jest przedsięwzięć udanych od początku do końca, a zlot w Strzegomiu i Rogoźnicy naprawdę pokazał, że harcerze potrafią wyjść poza schematy, poza „tradycyjne, harcerskie śpiewki" i pląsania. I nie trzeba się przejmować, że ludzie z całej Polski nie od razu „chwycili" wszystkie intencje organizatorów. Na przyszłość na pewno będzie lepiej, i tak trzymać.

MARIA ZIELIŃSKA

Z życia wzięte

Stałem ja sobie w kolejce w mieście stołecznym Warszawie, chcąc nabyć w drodze kupna owoc stref umiarkowanych - arbuza (nazwa łacińska bez znaczenia)... W kolejce zamieszanie, wszystko pulsuje, jakbyście kij wetknęli w mrowisko. Ludzie bez przerwy liczą, ile jeszcze zostało arbuzów i ile jeszcze ludzi przed nimi. Co chwila padają nowe notowania. Są szybsi od komputera! Arbuzów systematycznie ubywa, przy czym szybkość ubywania arbuzów w funkcji czasu jest wartością stałą, natomiast ludzi przybywa w postępie geometrycznym. Im bliżej podsuwamy się do lady, tym większe zamieszanie, ruch i wrzask. Kolejka staje się jedną wielką, solidarną społecznością. Wybieramy przez aklamację przywódczynię - najgłośniejszą panią składającą się z samych znaków szczególnych. Jej zastępcą zostaje cichy facet w kremowej koszulce, który uaktywnia się w miarę rozwoju sytuacji.

Nie wiem, co się działo na początku kolejki, bo czytałem „Świat Młodych" i wyłączyłem się kompletnie. Za to kiedy skończyłem czytać i rozejrzałem się, włosy zjeżyły mi się na głowie. Wokół ludzie błyskali oczyma, szczerzyli zęby i dyszeli żądzą mordu. Dopiero po trzech sekundach moje włosy wróciły do normalnego położenia. Tyle czasu bowiem upłynęło do chwili, kiedy uświadomiłem sobie, że jestem wśród swoich. Na dodatek stałem pomiędzy przywódcami grupy, więc byłem zupełnie bezpieczny. Dochodziliśmy już do lady. Co chwila podawano nowe notowania. Nas 21, arbuzów 30!

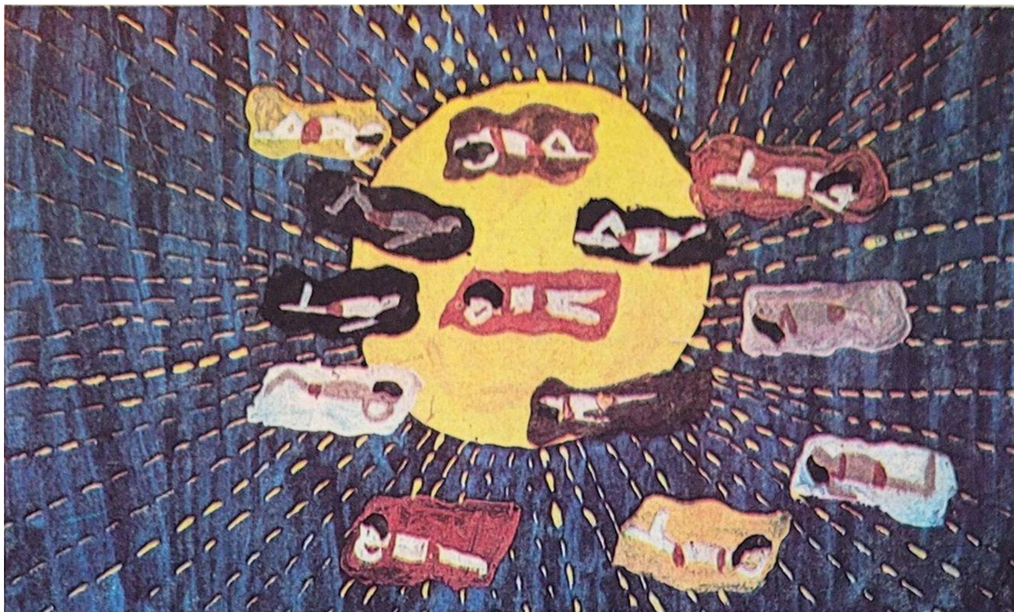
- Ja jestem 22 - powiedziałem, chcąc dać dowody lojalności wobec grupy. A potem nagle: nas 20, arbuzów 25! Tego było już za wiele. No i zaczęło się. Pani, składająca się z samych znaków szczególnych wygłaszała ogniste przemówienia, pełne swady i lekkiego dowcipu. Pan w kremowej koszulce dzielnie jej basował swoim wysokim tenorem (albo miękkim sopranem, bez znaczenia). Pani zaatakowała ostro. Zabroniła sprzedawczyni dawania więcej niż jednego arbuza jednej osobie. Postulat został uwzględniony. W tym momencie potężny podmuch powietrza omal nie przewrócił straganu. Wiatr? Ależ skądże! To tylko kolejka odetchnęła z ulgą.

Jednakże kolejne notowania wykazały znów zastraszający spadek liczby arbuzów, niezgodny z liczbą kupujących. Krótkie śledztwo wykazało,, że winne temu są młode matki z dziećmi na ręku. Po cichu ustawiły się z drugief strony lady i bezradnie zasłaniały się swymi bobasami od wściekłych ataków tłumu. Początkowo krzyczano, żeby w ogóle nie sprzedawać młodym matkom. Pani składająca się ze znaków szczególnych wygłosiła płomienną mowę, zakończoną druzgocącym argumentem: „Przecież to nie jest artykuł pierwszej potrzeby!!!". Skoro to nie jest artykuł pierwszej potrzeby, to dlaczego się wydzierasz, babo?! - chciałem zapytać, ale na szczęście ugryzłem się w język. W najlepszym bowiem razie wylano by mnie z kolejki. Zwłaszcza, że przez kolejkę przeszedł ponury ryk. Postulat nie został uwzględniony. Nadal sprzedawano matkom z dziećmi na ręku. Zgłoszono wniosek kompromisowy: co piąty arbuz idzie na młode matki.

Wreszcie, po długich i heroicznych walkach, przy których wojna trojańska jest zwykłą wymianą wzajemnych uderzeń w pysk, wyrzucono młode, matki wraz z ich bobasami. Wtedy wszystko wokół się zatrzęsło. Trzęsienie ziemi? Nie. Skądże. To tylko kamień spadł z serca kolejkowiczom.

Po wielu dalszych przygodach dostałem wreszcie swojego arbuza. Nie bardzo wiedziałem, co z nim zrobić. Rozejrzałem się wokoło. Inni łapali swoje arbuzy i zmykali czym prędzej odprowadzani nienawistnym wzrokiem niedawnych współtowarzyszy, Ruszyłem w stronę domu, aby pokazać zdobycz rodzinie, Byłem z siebie dumny. Poczyniłem mnóstwo obserwacji. Postanowiłem to opisać. Zwłaszcza, że arbuzy były nieprzeciętnej wielkości. Podczas wszystkich bojów jednego rozdziobały wróble, a drugiego ukradła mrówka...

Z poważaniem
Krzysiek Komarnicki



◄ *Rozkoszne wygrzewanie się w słońcu, które „dla wszystkich świeci jednakowo" - prace Justyny Czeuw ze Szkoły Podstawowej nr 5 w Skierniewicach*



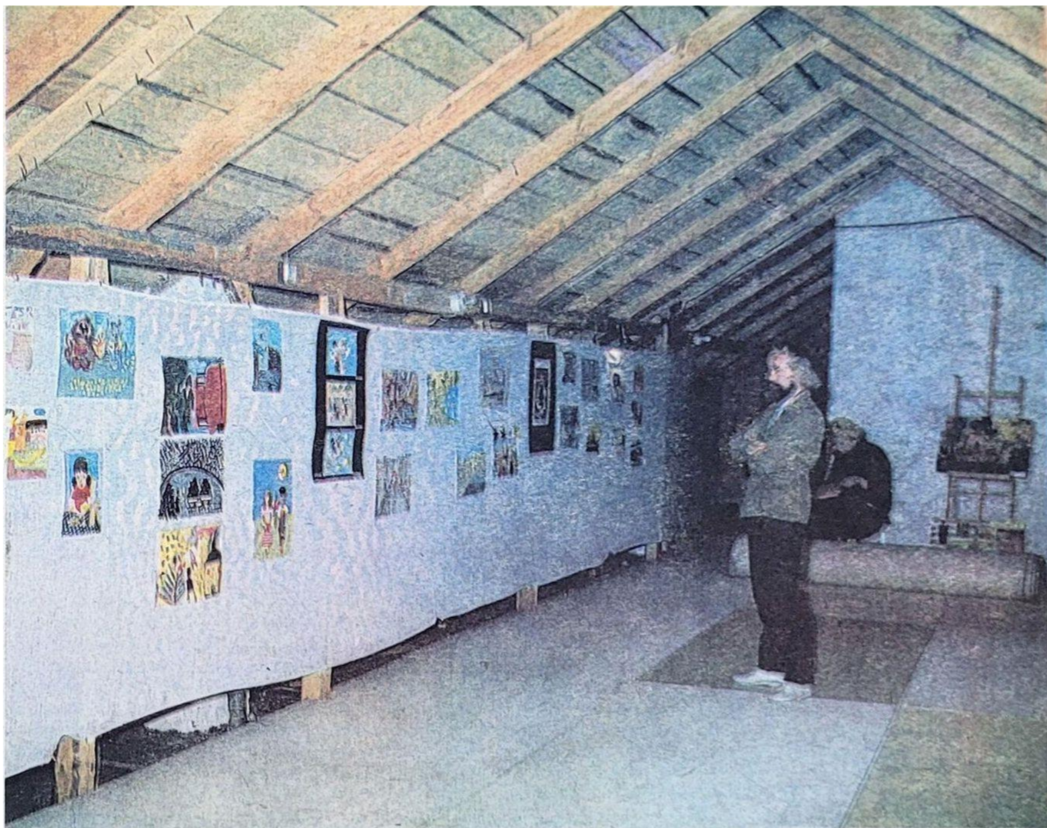
Dom otwarty

Niedaleko stacji PKP jest w Skierniewicach ulica Nowobielańska, numer 19. Zza ogrodzenia dużego białego domu groźnym okiem łypie owczarek podhalański. A nad drzwiami wejściowymi - napis, jako żywo... GAZDÓWKA! Chwileczkę... Tutaj? Gdzie Rzym, gdzie Krym! Gdzie góry, gdzie płaskie Mazowsze! Gospodarz tego domu, **Stanisław Romaniak**, mówi o sobie:

- Jestem rodowitym góralem! Coś przygnało mnie w środek Polski. Z Zakopanego wyjechałem w 1973 roku, a od siedmiu lat jestem tu -w Skierniewicach.

Gazda mieszkający na nizinie? Hm... A czymże się on zajmuje? Przed domem mnóstwo pni drzew - jesionów, lip. Przy schodach rzeźby postaci ludzkich, a przez otwarte drzwi widać wnętrze pracowni... Wszystko jasne - Stanisław Romaniak jest rzeźbiarzem! Wystawy jego prac gościły w muzeach, domach kultury i klubach wielu miast Polski. Były także prezentowane w Szwecji, Szwajcarii, Danii, Austrii, Japonii, RFN, we Włoszech, na Węgrzech. I wszędzie spotykały się z ogromnym zainteresowaniem oglądających. Z równym powodzeniem rzeźbi również w... słowie. Niedawno ukazał się trzeci zbiór jego wierszy pt. „Otwarte drzwi trzeba zamknąć".

Gazdówka to nie tylko mieszkanie rodziny Romaniaków. To także pierwsza w Skierniewicach prywatna galeria, dla której gospodarze przeznaczyli piętro swojego domu. Aż korci, żeby wykorzystując tytuł jednej ze sztuk Michała Bałuckiego, powiedzieć - domu otwartego. Przewijają się bowiem przez Gazdówkę tłumy gości, znajomych i przyjaciół państwa Romaniaków... Ktoś przyjechał, by ustalić szczegóły dotyczące wystroju wnętrza nowego urzędu w Skierniewicach, ktoś prosi o radę, jak najlepiej umocować drewniane karnisze, ktoś chce po prostu porozmawiać. Urywają się telefony...



Drewnianymi schodami wdrapujemy się na piętro, by w galerii obejrzeć blisko setkę konkursowych rysunków

Pierwszego czerwca było w Gazdówce - zresztą nie po raz pierwszy - bardzo tłoczno. Uczniowie skierniewickich szkół podstawowych, uczestnicy ogłoszonego przez rzeźbiarza konkursu plastycznego „Świat w moich oczach" przybyli na otwarcie wystawy swoich rysunków. Dla autorów wyróżnionych prac były nagrody ufundowane przez gospodarza, a dla wszystkich - pamiątkowe dyplomy z exlibrisem galerii i dużo, dużo cukierków.

Skierniewicka Gazdówka jest jeszcze „na dorobku", dopiero rozpoczyna działalność. Zaprezentować tutaj swoją twórczość może każdy, niezależnie od tego, czy ma dyplom u kończenia Akademii Sztuk Pięknych, czy też jest amatorem... Rzeźba, grafika, malarstwo, tkanina- wszystkie prace są mile widziane. Muszą tylko spełniać jedno kryterium - być naprawdę dobre. Każdy artysta mający w Gazdówce swój wernisaż darowuje jej jedną ze swych prac... Ziarnko do ziarnka - i wkrótce powstanie pokaźny zbiór - stała ekspozycja galerii. Oprócz wystaw, Stanisław Romaniak wszystkim chętnym proponuje także inne atrakcje: spotkania kominkowe z poetami, podróżnikami, plastykami, wspólne słuchanie opowieści, czytanie poezji,..

- Mam jeszcze dużo do zrobienia. W przyszłości marzą mi się konkursy plastyczne, które chciałbym ogłaszać w całej Polsce. Bardzo zależy mi, aby brały w nich udział dzieci z mniejszych miasteczek i wsi. Tam jest przecież wiele talentów - trzeba je tylko odnaleźć. Chciałbym także tym, którzy lubią „dłubać w drewnie" przekazać tajemnice rzeźbienia.

Był czas, że w Skierniewicach uważano Romaniaka za „podejrzane indywiduum". Dlaczego? Ano - organizuje prywatną galerię, choć nikt mu nie każe, ogłasza konkursy, funduje nagrody dla ich uczestników, zaprasza na spotkania z interesującymi ludźmi, a na dodatek do galerii wpuszcza za darmo... Bezinteresowność? W to jakoś niektórzy nie mogli uwierzyć.

- Z początku tłumaczyłem, wyjaśniałem, ale czasami te rozmowy odnosiły przeciwny skutek: „Oho! skoro tak się tłumaczy, to pewnie ma z czego!"

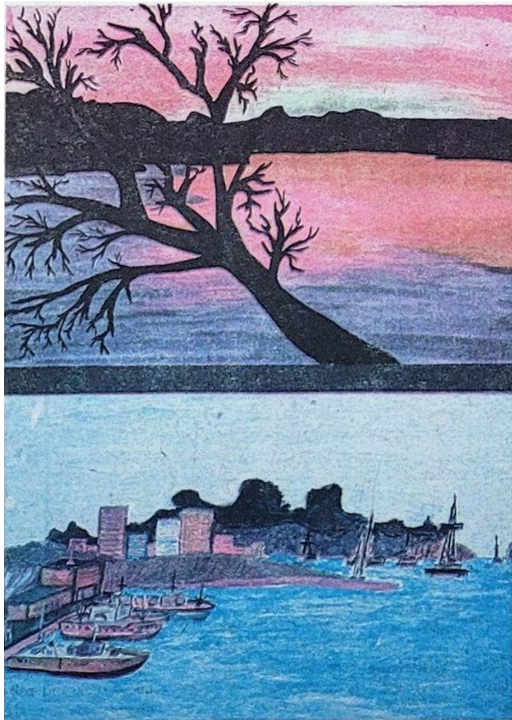
Już na odchodnym, nizinny góral łapie mnie za rękę:

- Czy widzi Pani to nowe osiedle? Typowe bloki, w których mieszka wiele rodzin. Ludzie zabiegani, zapracowani, czasem nie znają nawet swych sąsiadów z piętra. Będą się cieszyć, jeżeli mieszkańcy tego osiedla od czasu do czasu zajrzą do Gazdówki.

Stanisław Romaniak ma jeszcze wiele innych planów i ma też nadzieję, że je zrealizuje. Wierzę, że będzie tak jak mówi, bo twardy z niego góral.

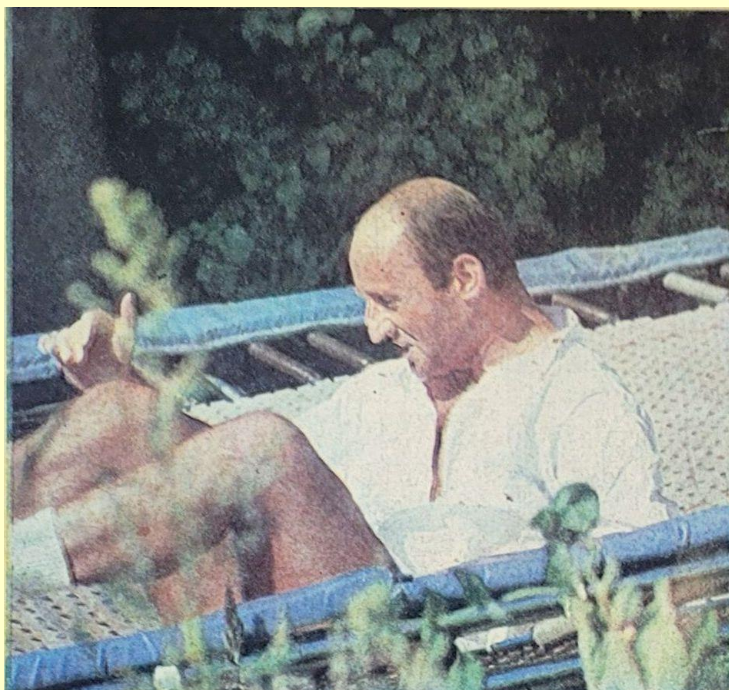
IWONA STARZYŃSKA
Fot. J. Łopuszyński

Galeria Gazdówka otwarta jest w piątki i soboty od 15 do 18. Wycieczki mogą ją odwiedzać właściwie przez cały tydzień, po uprzednim ustaleniu terminu wizyty. Zainteresowanym podajemy adres: Stanisław Romaniak, Gazdówka, ul. Nowobielańska 19, 96-100 Skierniewice, tel. 52-63.



Te bajecznie kolorowe pejzaże namalowali uczniowie z pracowni plastycznej Szkoły Podstawowej nr 5 w Skierniewicach

PIOTR FRONCZEWSKI bez kostiumu Pana Kleksa



Pan Piotr po próbnym skoku na batucie Fot. **M. Szymański**

Panu Piotrowi zdarza się cytować za J.P. Sartrem: „Gra się po to, żeby siebie okłamywać, aby być tym, kim nie można być, gdyż ma się dosyć bycia tym, kim się jest. Gra się dobrych, bo jest się złym, gra się bohaterów, bo jest się podłym, gra się dlatego, że się siebie nie zna i dlatego, że zna się za dobrze. Gra się, bo kocha się prawdę, gra się, bo się prawdy nienawidzi. Gra się, gdyż zwariowałoby się nie grając". Podpisuje się pod tymi słowami i oczywiście wciąż gra - na scenie, estradzie, przed kamerami i przy radiowym mikrofonie-od siedemnastu już lat.

Grywał jeszcze wcześniej, ale wtedy to była tylko przygoda. Miał lat 11, gdy wystąpił w telewizyjnym wodewilu „Żołnierz królowej Madagaskaru" jako mały Kazio. Potem zaprosił go na zdjęcia próbne reżyser Stanisław Różewicz i w rezultacie Piotruś zagrał w jego filmowym dramacie wojennym o obronie Poczty Gdańskioj - pt. „Wolne miasto". Statystował też na scenie łódzkiego teatru „Syrena", gdzie zetknął się z wybitnymi indywidualnościami aktorskimi starszego pokolenia - prof. Kazimierzom Rudzkim, Stefcią Górską, Tadeuszem Olszą i Adolfem Dymszą. Jedną ze swych dziecięcych ról - gawrosza w „Madame Sans Gêne" do dziś aktor pamięta, jako nie byle jakie przeżycie.

Jego wczesna fascynacja graniem z wiekiem nie zmniejszyła się, a że szła w parze z humanistycznymi zainteresowaniami i... niechęcią do „słupków" - wstąpił do PWST w Warszawie. Z dyplomem i to z wyróżnieniem w kieszeni, w 1968 roku rozpoczął pracę w zespole Teatru Narodowego w Warszawie, później był w Teatrze Współczesnym, a do 1983 roku w Dramatycznym.

Jest jednym z tych aktorów, którzy noszą bardzo specyficzną etykietkę, jedyną chyba jaka aktorowi nie przeszkadza. Uchodzi za człowieka, który potrafi zagrać wszystko. Rzeczywiście, w jego wypadku trudno mówić o określonych predyspozycjach. Jak żartobliwie twierdzi, ma natomiast... łut szczęścia.

To jest fach, w którym poza talentem w ogromnym stopniu decyduje przypadek, zbieg okoliczności. Jeśli los sprawi, że wszystko razem potrafi się spotkać ze sobą pewnego dnia, wtedy można powiedzieć, że się udało. Ale też... każdy następny dzień może okazać się klęską.

Jako swój debiut teatralny wskazuje dziś Mortimera w „Marii Stuart" Schillera na deskach Teatru Współczesnego. Teraz ma już w dorobku przeszło czterdzieści teatralnych kreacji, a wśród nich Hamleta.

- *Nigdy nie marzyłem o Hamlecie tylko po to, żeby znaleźć się w teatralnym almanachu* - zwierzał się w jednym z wywiadów. - *Starałem się ukazać księcia Danii rozpoznającego reguły rządzące światem.*

Grywał w repertuarze klasycznym i współczesnym, dramacie i w komedii. Godził codzienne występy w teatrze z telewizją, filmem, radiem i kabaretem. Największej popularności przysporzyła mu rola Pana Piotrusia w telewizyjnym Kabareciku Olgi Lipińskiej. Prócz tego, po całodziennej pracy, późnym wieczorem stawał na estradzie kabaretu „Pod Egidą" Jana Pietrzaka - oko w oko z publicznością, właściwie jako prywatna osoba. Kabaretowy Piotr Fronczewski to osobowość dynamiczna, zdolna do największych szaleństw.

- *Może to dlatego* - mówi – *że w rzeczywistości jestem spokojny, małomówny, wstydliwy i cichy.*

Od początku swej kariery występował także w filmie, W tym rodzaju sztuki - aktorstwie przed kamerą, również prezentuje się wciąż od innej strony. Wystarczy wymienić kilka tylko filmów z nim, choćby „Bilans kwartalny", „Ziemię obiecaną", „Pokój z widokiem na morze", „Miłość ci wszystko wybaczy", „Hallo Szpicbródka", „Sekret Enigmy", „Przygody psa Cywila", czy „Szaleństwa panny Ewy", by zorientować się jak ogromnymi dysponuje możliwościami i że umie z nich korzystać.

A co do roli Pana Kleksa... Nie była to tylko taka dobra zabawa, jaką oglądamy na ekranie. Ciężka peruka i obfity zarost były dla aktora katorgą, do tego stopnia, że miał ochotę zrezygnować z udziału w „Przygodach Pana Kleksa". Ale... wobec ogólnej sympatii dzieci i ich oczekiwań (z córeczkami Magdą i Kasią na czele) — nie mógł odmówić. Teraz, gdy zdjęcia do filmu Krzysztofa Gradowskiego są zakończone, zdążył już odpocząć z gładko ogoloną twarzą na planie filmu „Baryton" w reżyserii A. Zaorskiego.

(eb)



O zdrowej żywności pisze lekarz z Tarnowa

Kraina miodem i mlekiem płynąca

Jednym z najcenniejszych produktów spożywczych, które człowiek od bardzo dawna wykorzystuje dla swojej biologicznej egzystencji jest miód pszczeli. Mamy dokumenty sprzed 9 - 10 tysięcy lat przedstawiające na malowidłach ludzi, wyjmujących miód z otworów skalnych. Grecki lekarz Hipokrates, uznawany za ojca medycyny, pozostawił po sobie aż 300 recept miodowych! Atleci rzymscy przed występami na arenie spożywali miód. W starożytności miód był używany do balsamowania zwłok - w taki sposób zabezpieczono zwłoki Aleksandra Wielkiego zapobiegając procesom gnilnym...

Dlaczego miód jest tak zdrowy dla człowieka, a szczególnie dla młodego organizmu? W 100 g miodu znajduje się m. in.: 5 mg wapnia, 16 mg fosforu, 0,9 mg żelaza, 5 mg magnezu. Miód nie jest pokarmem witaminowym, ale jednak zawiera znikome ilości witamin: A, B2, C, PP. 100 g cukru to 100 g węglowodanów: 100 g miodu to 80 g węglowodanów. Czyli z tej samej porcji słodkości organizm otrzymuje o 20% mniej kalorii! W miodzie znajdują się również enzymy oraz białka, albuminy i globuliny, kwasy organiczne oraz czynnik hamujący rozwój pleśniaków, drożdży i niektórych bakterii, nazywany inhibiną. Olejki eteryczne i barwniki stanowią o zapachu i barwie miodu.

W Polsce spożycie miodu na głowę 1 mieszkańca wynosi zaledwie 35 dkg rocznie. Dla porównania: w RFN - 3 kg, a w Szwecji aż 5 kg! Miód jest więc produktem, który winien być spożywany w dużo większych ilościach, szczególnie przez dzieci i młodzież. Nie uszkadza on szkliwa zębów — tak jak to ma miejsce przy spożywaniu cukierków. W ustach rozpuszcza się już po 10 sekundach. A np. cukierki śmietankowe rozpuszczają się dopiero po 870 sekundach. Miód najlepiej jeść z chlebem, ale można go dodawać również np. do mleka. Nie wolno go jednak zalewać wodą czy mlekiem podgrzanym do temperatury powyżej 50 stopni C, gdyż dochodzi wtedy do zniszczenia jego najcenniejszych właściwości biologicznych! Proponuję Wam następujący sposób picia miodu: na wieczór do szklanki letniej wody dodajcie go 2 łyżeczki od herbaty. I wypijajcie ten napój rano, przed wyjściem do szkoły. Poprawa samopoczucia, zdrowia i myślenia gwarantowana!

W kronice Galla Anonima można przeczytać, że Polska to kraj mlekiem i miodem płynący. Potrzebą chwili jest wcielenie wżycie w sposób praktyczny zapisów dawnego kronikarza.

Od dawna pszczelarze twierdzą, że garniec miodu w domu może zastąpić... aptekę. Dzisiaj medycyna na nowo odkrywa lecznicze i profilaktyczne właściwości tego produktu. Cukier buraczany w procesach technologicznych jest pozbawiany wszystkich dodatków, dlatego spożywamy tylko „puste kalorie". Na szczęście przy produkcji miodu, człowiek nie ma możliwości ingerencji i pozbawiania go substancji biologicznie czynnych, dodawanych przez pszczołę, i m. in. dlatego miód jest zdrowszy niż cukier. Podstawowymi związkami w składzie chemicznym miodu są cukry proste — glukoza i fruktoza. Wchłanianie miodu w przewodzie pokarmowym odbywa się w górnej jego części (jama ustna, przełyk i żołądek) z pominięciem procesów pośrednich - trawiennych, gdyż jego składniki są w pełni przyswajalne! I to też jest wielka korzyść dla naszego organizmu. Np.: trzustka zamiast pracować - jak to się dzieje przy spożywaniu białego cukru - „odpoczywa" sobie, gdy spożywamy miód. Miód winien być więc stosowany szczególnie u dzieci, osób starszych, ozdrowieńców, ludzi ciężko pracujących, w następujących dawkach: niemowlęta - 7 g dziennie w dwóch dawkach, dzieci 4-16 lat 10-40 g dziennie w dwóch dawkach, dorośli 40-60 g miodu dziennie w dwóch dawkach. Dla ułatwienia podam, że 1 łyżeczka od herbaty mieści 15 g miodu;

A teraz podam kilka przykładów zastosowania miodu w leczeniu i profilaktyce niektórych chorób. U dzieci chorych na odrę lub świnkę, które spożywały miód, zauważono lżejszy przebieg tych chorób. Mniej było również powikłań. U dzieci chorych na biegunkę zakaźną, którym oprócz leków zastosowano miód — zarazki choroby znikały po 1 dobie, przy stosowaniu samych leków - choroba trwała 5 dni. Dzieci cierpiące na niedokrwistość z powodu niedoboru żelaza obowiązkowo powinny spożywać miód. Żelazo z miodu jest przyswajalne w 62,5 procent, a więc o wiele lepiej niż żelazo pochodzące ze źródeł roślinnych czy zwierzęcych. Picie miodu z wodą zapobiega zaparciom stolca - jest to schorzenie nie tylko osób dorosłych, coraz więcej dzieci cierpi z tego powodu. Miód może być „odtrutką" w przypadkach picia alkoholu i palenia papierosów. Przy katarach siennych (schorzenie na tle alergicznym) polecą się żucie codziennie kawałka plastra miodu już od dwóch miesięcy przed spodziewanym pojawieniem się uciążliwego schorzenia. Wtedy katar może nie wystąpić, albo będzie miał łagodny przebieg. Miód jest nieodłączną częścią diety sportowców, lotników, alpinistów czy kosmonautów. Przy chrypce ma pomagać napój: w szklance ciepłego mleka wymieszać dwie łyżeczki miodu i dodać masła na końcu noża. Gdy będziecie się czuć zmęczeni, gdy przebyliście jakąś chorobę, lub gdy przygotowujecie się do psychicznego wysiłku (sprawdzian czy klasówka) sporządźcie taki napój: 500 g kefiru zmieszać z jedną łyżką stołową miodu i 2 łyżkami płatków owsianych. Dodawać soku cytrynowego, stale mieszając aż się płatki owsiane rozpłyną. Stosujcie taki napój jak najczęściej.

I jeszcze jedno: może znajdzie się szkoła w Polsce, która nawiąże współpracę z pszczelarzami zrzeszonymi w Związku Pszczelarskim lub Zrzeszeniu Pszczelarzy „Apipol". Chętnie będę pośredniczył w nawiązaniu współpracy pomiędzy pszczelarzami a Wami! Czekam na listy!.

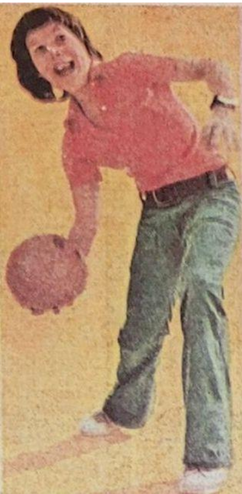
JACEK ROIK



Fot. **J. Dąbrowski**

Co tydzień piłka!

OSTATNIA – DLA DARIUSZA



Trochę to potrwało, zanim rozlosowaliśmy piłkę za nasze wakacyjne zadanie *„Własnym oczom nie wierzyłem"*. Ale wszystkie nadesłane prace trzeba było szczegółowo przeanalizować i zastanowić się, które z nich rzeczywiście spełniają warunki zadania. I tu - zdumienie: mimo że to, o co chodziło w zadaniu, zostało w numerze 100 „Świata Młodych" z dnia 20 VIII bardzo zrozumiale sprecyzowane, wielu spośród Was pisało nie na temat. Spora część opisywała np. spotkania z wyimaginowanymi istotami z innych planet, inni zapoznawali nas z treścią swoich fantastycznych snów, niektórzy nawet zawiadamiali nas po prostu, że... w czasie wakacji czują się dobrze (co nie było wcale takie trudne do uwierzenia!). W sumie więc do czołówki odpowiadającej ściśle warunkom zadania zakwalifikowaliśmy zaledwie kilkanaście prac na jednakowym poziomie i spośród nich wylosowaliśmy zdobywcę piłki. Został nim **Dariusz Majewski** (Przyłęk, woj. radomskie). Gratulujemy! Piłkę wysyłamy pocztą. A wszystkim uczestnikom zadania dziękujemy i radzimy patrzeć na świat uważniej i wnikliwiej, obserwować i zastanawiać się, bo nieraz tuż za progiem można ujrzeć takie zjawiska, że własnym oczom trudno uwierzyć". (**WAG**)

dawno... niedawno...

Co się wydarzyło 22 i 23 października

22 X 1925 r. - w Pielgrzymowicach (pow. pszczyński) urodził się Karol Miarka - nauczyciel i publicysta, jeden z najwybitniejszych działaczy polskich na Górnym Śląsku. Utwory swoje drukował (od 1861 r.) w „Gwiazdce Cieszyńskiej". Napisał m. in. powieść „Górka Klemensowa" (1861 r.) sztukę „Kultura" (1864 r.). W 1865 r. ogłosił rozprawę „Glos wołającego na puszczy górnośląskiej, czyli o stosunkach ludu polskiego na Górnym Śląsku", w której krytykował politykę niemiecką wobec Polaków. Występował w obronie języka polskiego na łamach „Zwiastuna Górnośląskiego". W 1869 r. nabył na własność pismo „Katolik" i jednocześnie podjął działalność wydawniczą. W tym samym roku założył Kasyno Katolickie - stowarzyszenie kulturalno-oświatowe, a po jego rozwiązaniu Kolo Towarzyskie w Królewskiej Hucie. W 1879 r. powołał do życia „Poradnik Gospodarski", poświęcony obronie ludności wiejskiej. Aresztowany przez władze pruskie, po opuszczeniu więzienia przeniósł się do Cieszyna, gdzie zmarł 15 VIII 1882 r..

22 X 1936 r. - utworzono polski batalion im. Jarosława Dąbrowskiego w Hiszpanii. Przekształcił on się następnie w brygadę międzynarodową, która do 1939 r. walczyła z faszystowską rebelią generała Franco.

Ponadto:

22 X 1887 r. - urodził się John Reed, pisarz amerykański, dziennikarz, działacz ruchu robotniczego, autor książki o rewolucji październikowej pt: „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem" (zm. 17 X 1920 r.).

22 X1943 r. - oddziały Gwardii Ludowej stoczyły zwycięską walkę z wojskami hitlerowskimi w Lasach Lipskich na Lubelszczyźnie.

23 X 1944 r. - otwarto Lubelski Uniwersytet Państwowy im. Marii Skłodowskiej-Curie.

Cytat na dziś i jutro:

Smutna jest epoka, kiedy w życiu publicznym uczciwe zwie się naiwnym, a szczere - głupim.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

Tajna misja „Atlantis"

3 października br. wystartował z Przylądka Canaveral w supertajną misję wojskową amerykański wahadłowiec „Atlantis". Eksperci twierdzą, że start ten rozpoczyna nowy etap w amerykańskich planach militaryzacji kosmosu. Ze skąpych doniesień agencyjnych wiadomo tylko tyle, że 5-osobowa załoga „Atlantis", której dowódcą był pułkownik Karol Bobko, umieściła na orbicie okołoziemskiej dwa satelity komunikacyjne. Mają one służyć celom Pentagonu, m. in. w przypadku wojny przekazywać rozkazy prezydenckie nuklearnym siłom zbrojnym USA. Smutna to wiadomość, świadczy bowiem o nieprzejednanym stanowisku administracji waszyngtońskiej w realizacji koncepcji gwiezdnych wojen, mimo radzieckich propozycji rozbrojeniowych, mimo protestów uczonych całego świata, mimo stanowiska ONZ nawołującego do zachowania przestrzeni wokółziemskiej wyłącznie dla badań pokojowych.

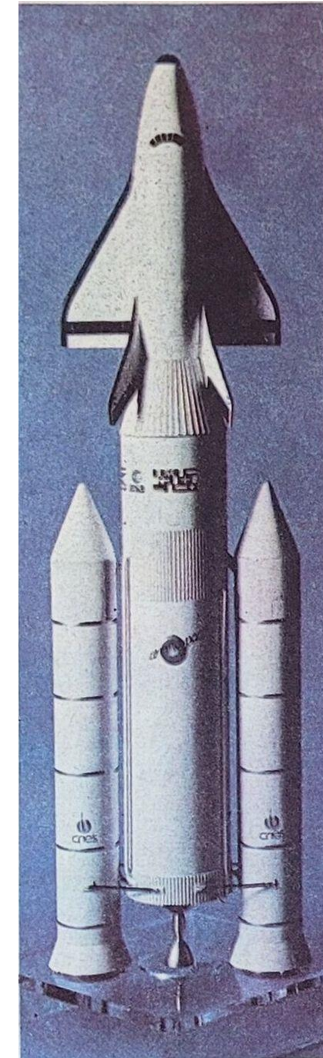
Misja „Atlantis" zakończyła się 7 października lądowaniem wahadłowca w bazie lotniczej Edwarda w Kalifornii.

Pod koniec sierpnia br. we francuskiej gazecie L'EXPRESS ukazała slą obszerna korespondencja z Japonii. Dominique Simonnet, autor tej korespondencji opisuje dotychczasowe osiągnięcia Kraju Wschodzącego Słońca w podboju kosmosu oraz kreśli plany Japończyków na przyszłość. „Podbój kosmosu po japońsku", to najważniejsze fragmenty relacji francuskiego dziennikarza. Warto przeczytać.

PREZES



PODBÓJ KOSMOSU PO JAPOŃSKU



Tak wygląda zachodnioeuropejski projekt wahadłowca „Hermes" wraz z rakietą nośną. Jak będzie wyglądał prom japoński?

Jeśli wkraczamy w przestrzeń kosmiczną, to nie tylko po to, by podbić nowe rynki. Przede wszystkim po to byzagwarantować sobie niezależność.. " Tadahisa-Mori podkreślą każde słowo. W Japonii aby być naprawdę zrozumianym, słowa powinno się cedzić powoli, jak herbatę! Przerwy, między zdaniami stają się. wówczas wymowne. Spoza grubych szkieł w rogowej oprawie spojrzenie mego gospodarza, dyrektora odpowiedzialnego za sprawy, międzynarodowe w Urzędzie ds. Nauki i Techniki, jednego ż szefów, japońskiego programu, kosmicznego, jest przenikliwe. Jakby chciał powiedzieć „obserwatorówi" przybyłemu z Zachodu: „Ostrożnie ze schematami! W przestrzeni kosmicznej, tak jak gdzie indziej, nie jesteśmy wyłącznie nastawieni na merkantylne kopiowanie. Mamy szlachetniejsze ambicje". Do dziś Japonia umieściła już na orbicie 35 satelitów, więcej niż zjednoczona Europą Zachodnia! Aby móc wystrzeliwać wielkie satelity, Japonia przygotowuje rakietętak potężną jak najnowszy model „Ariane"! Podobnie, jak Europa Zachodnia, Japonia będzie współpracowała przy tworzeniu amerykańskiej stacji orbitalnej. Tak jak Europa Zachodnia, Japonia wyśle astronautów na pokładzie promu kosmicznego. Tak jak Europa Zachodnia, Japonia myśli o skonstruowaniu własnego samolotu kosmicznego i podkreśla to, co w ustach Tadahisy Moriego powtarza się jako motyw przewodni: swoją niezależność. To nie jest jedynie ładna formułka, to konieczność: Japonia nie może już w istocie liczyć na Stany Zjednoczone, które dotychczas bardzo szeroko przyczyniły się do jej rozwoju.

Wszystko zaczęło się blisko 30 lat temu. W 1956 r. na uniwersytecie tokijskim mała ekipa tworzy pierwszą rakietę-sondę na proch. Przypomina ołówek, prawie zabawka. Ale to wystarczyło, by zaczął się „ruch w interesie": powstaje wówczas w Kagoshimie, na wyspie południowej, pole startowe oraz powołuje się w latach 60 specjalistyczne organizacje. Najpierw Instytut Nauk Lotniczych i Kosmicznych, potem Komisję ds. Działalności Kosmicznej i wreszcie, japoński urząd kosmiczny, który mając kilka lat opóźnienia wobec odpowiedników amerykańskich i zachodnioeuropejskiego, przygotowuje pierwszy długofalowy program.

„Ołówek" dał początek. W lutym 1970 roku umieszczono ną orbicie coś w rodzaju czarnej kuli. Ważący 27 kilogramów „Oshumi", pierwszy satelita, uczynił Japonię czwartą potęgą kosmiczną i wyprzedził o dwa miesiące pierwsze chińskie maleństwo kosmiczne, które - pamięta się o tym? - wysłało w międzygwiezdną czerń dźwięki rewolucyjnego hymnu „Wschód jest czerwony".

Ale Kraj Wschodzącego Słońca nie chce się zadowolić symbolami, ani wagą piórkową. Nie dysponuje jednak technologią niezbędną do wynoszenia w kosmos większych obiektów. Ma tylko jedną możliwość, by dogonić Zachód - współpracę: Stany Zjednoczone zgodziły się sprzedać. Japonii jedną ze swych lepszych rakiet: Thor Deltę. Buduje się ją potem na archipelagu japońskim według licencji i bez skrupułów przemianowuje na N-1 (Nippon 1).

W 1981 r. - rakieta N-2 - następny model, który umożliwia wyniesienie w kosmos 350-kilogramowego satelity geostacjonarnego - jest również produktem „made in USA". Jednak tym razem dokonane zostają przez japońskich inżynierów ulepszenia, które natychmiast są odsprzedane Stanom Zjednoczonym. A co z satelitami? Oficjalnie są produkowane przez wielkie firmy japońskie, ale ich części składowe są w istocie dostarczane przez amerykańskich poddostawców.

Ten przepływ technologii ma swe granice. Aby przejść do następnego etapu wystrzeliwania wielkich satelitów komunikacyjnych i pojazdów z ludzką załogą potrzebne są jeszcze potężniejsze rakiety wyposażone w silniki „kriogeniczne" (na płynny tlen i wodór). Japonia, zgodnie z logiką, zwraca się wówczas do swego tradycyjnego dostawcy. Ale z drugiej strony Pacyfiku podnosi się okrzyk: „Dość!" „Amerykanie kategorycznie nam odmówili - spokojnie opowiada Tadahiśa Mori. - Wtedy zostaliśmy zmuszeni do opracowania własnej technologii.

Tak też zrobiono. Zachodni specjaliści nie mogą się nadziwić: w kilka lat japońscy inżynierowie opracowali, tym razem w każdym szczególe silnik kriogeniczny, potężniejszy niż silnik „Ariane" w pierwszej wersji. Od przyszłego roku powinien wejść na wyposażenie H-1, rakiety -składanki zdolnej umieścić na orbicie geostacjonarnej satelitę o wadze pół tony. Co więcej, zapowiedziano już wprowadzenie następnego silnika. Jego moc będzie porównywalna z mocą silnika, na którego konstrukcję Europa Zachodnia zdecydowała się w zeszłym roku.

Rakieta, która powstanie dzięki temu silnikowi w 1991 r., logicznie ochrzczona H-2, umieści na orbicie geostacjonarnej 2-tonowe ładunki, co pozwoli jej zrównać się z „Ariane IV" (wersja z 1986 r.) Tak więc Japonia wkroczy na rynek satelitów zaledwie z niewielkim pięcioletnim opóźnieniem za Starym Kontynentem.

A co z satelitami „made in Japan"? Pod tym względem są trochę mniej drobiazgowi: „Rząd chcialby, byśmy wybierali komponenty japońskie" - wyjaśnia Tadao Shimamura, naczelny dyrektor działu kosmicznego NEC. Dodaje jednak, ściszając głos: „Polowa komponentów pochodzi z zagranicy, bo są tańsze!"

W kosmosie wszystko jest kwestią ciężaru. Zamiast robić większe rakiety, można pomyśleć o lżejszych satelitach. W kraju, gdzie produkuje się mini-zestawy Hi-Fi i mini-telewizory, buduje się mini-sątelity. A może mini-wahadłowiec kosmiczny? Japonia ogłosiła już zamiar zbudowania samolotu kosmicznego, podobnego do zachodnioeuropejskiego „Hermesa". Będzie to klucz do niezależności w najbliższych latach.

W Urzędzie ds. Nauki i Techniki sami przyznają: „To prawda, jesteśmy bardzo opóźnieni w dziedzinie lotów z załogą ludzką". Ale Japonia jest zdecydowana to nadrobić. W zeszłym miesiącu japońscy astronauci przybyli do ośrodka kosmicznego Houston w Stanach Zjednoczonych. Jest ich siedmiu, jak samurajów. Ten który zostanie wybrany, poleci w 1988 roku na pokładzie amerykańskiego wahadłowca. Tym razem dawny partner nie mówi „nie". Stany Zjednoczone zaproponowały również Japonii, by się przyłączyła do budowy ich stacji orbitalnej. Reichi Takeudhi, minister nauki i techniki oraz James Beggs, szef NASA podpisali już porozumienie. „Stwierdza się w nim, że Stany Zjednoczone nie będą przekazywać technologii, która nie jest niezbędna-stwierdzaTadahisa Mori i dodaje z dumą - Dla nas także nie jest to konieczne!"

Dziesięć wielkich firm, w tym Mitsubishi, Toshiba, Hitachi, Fujitsu, Kawasaki i NEC, pracuje obecnie nad projektem modułu laboratorium przypominającego beczkę i wyposażonego w ramię do manipulowania. Będzie ono doczepione jak wagon do amerykańskiej stacji.

---

niej mocno, tuląc rozognioną twarz do szorstkich, odurzająco pachnących, szeleszczących pod nią traw.

- Dziadek Mikołaj wie jak się wszystkie po kolei nazywacie. Babcia Natalia zna wasze zapachy i barwy. Dziadek Mikołaj jest trzmielem, a babcia pszczołą. Maciek jest Kallimachem. Rafał mądrym Małym Księciem. Jacek - Jackiem. A ja zwyczajną Anną, głupią dziewczyną, gęsią. Co wy na to? — I roześmiała się głośno, bo usłyszała „nic".

Zeszła potem do rowu, wilgotną dłonią otarła policzki i, jakby ta chwila skupionej samotności dodała jej sił, a trzeźwa obojętność traw niczego nie nauczyła, spokojnie - bo co znaczy bijące mocno serce, nie widać tego na szczęście — czekała na Jacka.

Usiadł obok i patrzyli razem na rozniebieszczoną nagle wodę.

- Anna?...

- Pochowałam Rafała okręcik. Przypłynął aż tu. Nie mów mu, ze zatonął. Niech myśli, że jego „Kapitan Nemo" - tak go nazwał, wiesz? - jest już na Bałtyku co najmniej. Spójrz, jakie niebo! Flinta miała rację, będzie burza.

Jacek milczał. To dobrze, Anna jest mu wdzięczna. Zrpżumiał-od razu, że ona nie chce mówić o niczym, co jest trudne. Nie umie jeszcze. Boi się. Wystarczy, że Jacek przyszedł. Darowali jej głupi wyskok przy stole. Zagubienie w nowym świecie. Zmieszanie, które paraliżuje rozum. Czy długo jeszcze, na Boga, nie potrafi nad sobą panować? Niańczą ją przecież, przebaczają, udają, że nie widzą niczego. Urodziła się durną dziewczyną...

- Szkoda, że nie jestem chłopcem - Użaliła się nad sobą. - Mielibyście czwartego kumpla i cześć.

- Uchowaj Boże! - żachnął się Jacek. Szczerze, czy znów był szlachetny? Nie poznała. - A po licha nam czwarty? W brydża jeszcze nie gramy.

Anna śmieje się cicho. Jacek mógł tak powiedzieć. Patrzy gdzieś obok, nad nią, a nawet jeśli na Annę, to przez nią, w świat zakryty jej letnią sukienką, czerwone groszki na białym tle, lamówka przy ramiączkach, przy praniu trzeba uważać, żeby nie pofarbowała. Jacek też z Anną rozmawiać nie umie. Zniża się do niej, zawsze się zniża, nawet kuca, psiakrew, o właśnie, to jest właściwe słowo - i nic. Anna odważyła się spojrzeć w oczy siedzącego blisko niej chłopca. Rafał ma rację - myśli w popłochu — że się ich boi, choć Jacka kocha, a oczy wydają się łagodne. Wytrzymam - postanawia desperacko. Muszę z o b a c z y ć, co Jacek myśli? Czy choć raz w życiu - skoro już przyszedł nad ten kaczy dołek - o niej myśli, o Annie?

Myśli o niej. Była obok - rozszyfrowuje Anna szare spojrzenie i poprawia „była" na „jest", i kurczy się od tej trzeciej osoby; od lat, dziecko, prawie siostra, brzękadło, zawalidroga, trzeba było na toto uważać, najpierw niańczyć, wycierać nos (zdarzało się!), uczyć trzymania się roweru, łyżew, pomagać w „matmie" i innych „ścisłych", nie tylko Elżbiecie zdarzają się trójki, wyganiać precz, gdy była natrętna.

Później Anna oddaliła się. Nawet tego obaj z Maćkiem nie zauważyli, zaczęła mieć swoje własne sprawy i życie pełne sekretów szeptanych koleżankom, mamie, babci Rafała i solnie do ucha, niepojętych w swej dziwności oczywistych tajemnic. Zhardziała, obrażała się mrukliwie lub zupełnie milcząco, wpadała w gniew sięgający szczytów uniesień, w jednej chwili mogła przejść od tragicznego smutku do radości o włos graniczącej z euforią. Uciekali od niej wszyscy trzej, nie tyle z niechęci - poza nastrojami była zupełnie równym kumplem - co ze strachu, że powiedzą, zrobią coś nie tak i to coś zadziała jak przycisk wprawiający w ruch nieznane urządzenie, z ostrzegawczym co prawda, ale lekceważonym przez nich napisem: „uwaga, działanie nieznane, może być niebezpieczne i nieobliczalne w skutkach".

Anna złazi do rowu. Nie pamięta, który raz Jacek tak myśli? - pyta sennego, znużonego upałem żuka odpoczywającego na zakurzonym liściu łopianu. Żuk nie wie. Anna wzrusza ramionami.

- Nikt nie wie - mówi z pretensją. - To skąd ja mam być mądrzejsza, co? —dorzuca gniewnie. Oblizuje suche wargi, są słone, jakby płakała; to tylko kurz, wszędzie kurz, piasek, pył, niechby już lunęło. Podciąga sukienkę na opalone na brąz uda. I przekrzywiając głowę jak ptak, próbuje przejrzeć się w wodzie.

— Tere fere — mruczy zniechęcona. — Nic nie widać.

Zaczęła myśleć o Jacku, bo Jacek, on... a teraz...

- Hejl - zawołała półgłosem. - Hej, wiecie? Już to umiałam powiedzieć sobie. „Proszę to przeliterować, mówisz tak cicho". A może napisać? Drukiem czy...? Może w powietrzu? Na papierze, na piasku, na szarym od kurzu liściu łopianu, ułożyć z rzepich główek, z trawy...

Musi zamknąć oczy. Słońce świeci zbyt mocno, woda w rowie jest za niebieska, trawa za zielona, świat za piękny. Jacek za blisko...

Cdn.

Scenariusz
i rysunki
TADEUSZ
RACZKIEWICZ

TAJFUN

AFERA BRADLEYA

5





ŚWIAT MŁODYCH

UKAZUJE SIE OD 1949 r.
Nr 127 (4057)
Wychodzi
wtorki, czwartki, soboty
Nr indeksu 35045
PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.) Teresa Maciszewska, Jan Orgelbrand, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).

TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch” Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i teminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa–Książka–Ruch” oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne:
Inna Bójska
Opracowanie techniczne
Barbara Zając

Korekta
Bianka Abratowska-Lisowska
Zakłady Graficzne
Dom Słowa Polskiego
Zam. nr 3842/G. N-33
Nakład 439 000

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

- PANIE MĄDRALA - pyta okulista — jak się pan czuje w tych nowych okularach, które panu przepisałem?

- Świetnie, panie doktorze! Tylko nie rozumiem, dlaczego spotykam teraz na ulicy tak wielu znajomych...

*

LEKARZ PYTA pielęgniarkę:
- Siostro, jak się czuje ten chory z sali nr 10?
- Lepiej; rano już mówił...
- A co mówił?
- Że się czuje gorzej...



Maciek zastygł z pajdą unoszoną do ust, Anna zaczerwieniła się nie wiedzieć czemu. Jacek patrzył na pana Mikołaja. Pani Natalia uśmiechała się.

- To dlatego — odpowiedziała poważnie małemu - że bardzo długo bawiłam się z Pollyanną.

- Po... jaką Anną? Aaa!... - pokiwał na koniec głową Rafał, że rozumie, ale minę miał wyjątkowo tępą.

— Potem znudziło ci się?

— Właśnie. Spotkałam dziadka i już nie musiałam się bawić.

— Zabronił ci? - mały puścił mimo uszu to „nie musiałam", zresztą i Anna nie zrozumiała babci. — Pewnie nie miałaś czasu - bąknął, bo nie chciał jednak robić przykrości panu Mikołajowi.

— Wznoszę toast za zdrowie pana Gastoła. Pierwszy ale odtąd nieustający. - Jacek wstał i skłonił się przed panem Mikołajem głęboko. I choć słowa nie były te wybrane z najwspanialszych, ton, jakim je wypowiedział, ukłon, a przede wszystkim twarz, były poważne.

— O! - poruszyła się z żywością pani Natalia i oczy jej pojaśniały. - Znasz Pollyannę? Niemożliwe! Mów! - rozkazała.

— Nie - zaprzeczył Jacek. — Tylko ze słyszenia.

— Od matki?

— Nie. Od jednej dziewczyny. Aliny, choć była Balladyną. Opowiadała mi.

Maciek przełknął nerwowo ślinę.

— Mnie nie mówiła — zamruczał z wyrzutem.

— Ooo! - obrzuciła ich spojrzeniami pani Natalia. – O! - powtórzyła ze zdziwieniem. — Zaczynam was poznawać, moi mili. Przekażcie tej młodej damie ukłony ode mnie. Który?... - zawiesiła głos.

— Maciek, proszę babci, to jasne — odpowiedział prawie dorośle Rafał. — Anna myślała, że... alee... właśnieee...

Przy stole zapadło milczenie. Anna czuła, że płoną jej policzki. Bała się, że wszyscy zaraz to spostrzegą, spojrzą na nią przecież! Że pani Natalia spyta, a może tylko uniesie brwi... I te jej wszystko widzące oczy! Anna nie zniesie tego, napięcie jest zbyt duże. Rozpłacze się... Nie!

Zerwała się gwałtownie i wymamrotawszy coś (czy mogło to znaczyć „przepraszam", nie wiedziała), wypadła z pokoju.

Za krzakami dzikiego bzu w kącie ogrodu był rów. Płynęła w nim woda — smętna struga w czas niepogody i jasny strumień w słoneczny dzień. Była niepogoda! Papierowy okręcik Rafała, puszczony w podróż dzień wcześniej na łące, utknął o sto metrów od spuszczonych ze stromego brzegu nóg Anny, na czarnej mieliźnie lewego, błotnistego skraja. Zdążył go już przykryć szary nalot kurzu i brudnych oparów mazistej wilgoci. Zszargany żagiel rozlazł się smutno i brzydko. Anna rzuciła garść żółtej ziemi na papierowy wrak, pogrzebała uczciwie, przykryła suchą, zmatowiałą trawą.

— Morze przepłynął, u brzegu zatonął — zamruczała w ostatniej pożegnalnej mowie. Pożałowała wchłoniętej przez maź bieli. Schyliła się nad rowem i rozgarnęła patykiem szary kopczyk.

— Nie będziesz leżał w błocie — powiedziała. Zepchnęła do wody, rzuciła kamień, wcisnęła gałęzią w dno.

Zaszyta w wysokie trawy bez zmrużenia oczu patrzyła w zasnute mgłami, zamazane przedburzowym niebem słońce.

— Jestem idiotka, wiesz? — krzyknęła słońcu prosto w twarz.

Milczało, obojętne i dalekie na równie dalekim niebie.

- Bagatela, te głupie sto pięćdziesiąt milionów kilometrów — wzruszyła ramionami, słońcu na usprawiedliwienie.

- Jestem głupia, wiesz? - zwróciła się z kolei do łąki i przywarła do

Dokończenie na str. 7